ŚWIAT

1 ZŁ

180

NR. 2. 13 STYCZNIA 1934 ROKU



W numerze bieżącym:

»ŚWIAT« dążąc do ciągłych udoskonaleń, pragnąc, aby kontakt pisma z jego prenumeratorami stawał się coraz bliższy, a dla prenumeratorów specjalnie korzystny, wznawia tradycję premji artystycznych dla swych stałych prenumeratorów. **Jako pierwsze premjem**

»ŚWIAT« **ofiaruje w najbliższym numerze swym prenumeratorom reprodukcję pięknej litografji znakomitego grafika-polskiego** JÓZEFA TOMA **przedstawiającą portret Króla Jana Sobieskiego.**

Wobec nieprzebrzmiałego jeszcze echa 250-ej rocznicy Odsieczy Wiedeńskiej, wobec trwającej wystawy pamiątek po Sobieskim w Muzeum Narodowem, wobec zainteresowania szerokich sfer inteligencji polskiej wszystkim, co związane jest z postacią bohaterskiego Króla, premjum nasze, oprócz wybitnych walorów artystycznych, jest też wysoce aktualne, co prenumeratorzy nasi niewątpliwie odpowiednio ocenią.



ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
ZAŁOŻONE PRZEZ STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, SZPITALNA 12
ROK XXIX • NR. 2 • DNIA 13-go STYCZNIA 1934 ROKU



LEON CHRZANOWSKI

Dyplomatyczne podróże

Tajemnice Ligi Narodów.

Zestawienie tych słów w stosunku do instytucji, która miała się stać zrębem jawnej dyplomacji, której system demokratycznej równości międzynarodowej w stosunku do wszystkich państw miał być barykadą dla tendencji supremacyjnych mocarstw — zestawienie to wydaje się paradoksem.

A jednak tajemnice Ligi istnieją — zanim odsłoni znaczną ich część publikacja jednego z najlepszych francuskich znawców kulis „Palais das Nations" — możemy od czasu do czasu widzieć wydarzenia i machinacje, stające się w szybkiem tempie przysłowiowemi „tajemnicami poliszynela".

Do jednej z takich tajemnic należy manewr odkładania debat Ligi w momentach, gdy kompromis osiada na rafach spiętrzonych trudności, jak osamotniony przez odpływ bezradny bałwan. Wówczas w języklogji Ligi ma następować okres „wytężonej pracy kancelarji dyplomatycznych".

Ta wytężona praca dekoruje się zazwyczaj „wypoczynkowemi podróżami" tych lub innych ministrów.

Formuła podróży wypoczynkowych okazuje się najstrawniejsza. Według niej minister konferujący podczas podróży wypoczynkowej jest mniej niebezpieczny, niż podczas podróży urzędowej. Zbędne są wówczas ultra oficjalne komunikaty, łatwiej się zaprzeć gaffy popełnionej, gabinety mają większą swobodę zdezawuowania osiągniętych porozumień, przyznanych ustępstw i to bez ryzyka podawania się do dymisji. Zbyt docierającym i kłopotliwie informującym się dziennikarzom szefowie gabinetów zwracają uwagę i przypominają, że to „przecież podróż wypoczynkowa", „że minister też jest człowiekiem" i w imię tej obrony ministerjalnego człowieczeństwa — przypominanego zazwyczaj głównie i właśnie w owych podróżniczo-wypoczynkowych okresach, pragnie się zdobyć pobłażliwość, dyskrecję i sympatję prasy i ogółu dla tych eskapad turystycznych.

Inna rzecz, że właśnie w czasie wypoczynkowego śniadania rzucono ziarna Locarna, że wypoczynkowe podróże były u kolebki „paktu czterech" tych lub innych dokumentów nieagresji — oraz tych lub innych zasadzkowych projektów względem samej Ligi.

Taki okres „wypoczynkowy" zazwyczaj ma swój rytualny „porządek podróży". Jeśli to będzie za czasów Chamberlaina, adorującego dłuższe podróże morskie, to jacht czy okręt admiralski ówczesnego ministra zawinie na wody Civita Vecchia czy Genui niemal niespodziewanie, bez powodu, ot tak sobie, po oliwę włoską, po ładunek węgla... A że gościnność latynów nie może pozwolić, aby łącznikiem między jachtem lorda i ziemią Cezara byli węglarze, więc da to okazję, aby na pokład jego fregaty wstąpił Mussolini, aby odbyły się wypoczynkowe festyny i rozmowy.

Lord Simon jest bardziej moderne — podróżuje aeroplanami i sleepingami — co mu nie przeszkadza podziwiać fregat wydobytych z jeziora Nemi wolą i rozkazem Mussoliniego.

Lord Simon bierze sam do ręki walizkę i paczkę i tak demokratycznie obładowany „sadzi" swemi długiemi krokami do sleepingu, zmuszając do dostojnego truchcika swą małżonkę. Lord Simon wypoczywa na Capri; tam na tle „Faraglionów" i ich skalistej fantastyczności „wyspiarz Albionu" zmienia się w wyspiarza śródziemnomorskiego, krzepiąc ciało, radując ducha.

A później na deser, na zakończenie „wypoczynku", między innemi zajeżdża do Rzymu!

I tu znowu mają miejsce wypoczynkowe konferencje.

* * *

Czy przyniosły one światu coś nowego i konkretnego?

Jeśli wczytać się w komunikaty rzymskie, to przekonania tego nie można nabrać.

Są jednak pewne akcenty bardzo znamienne, które dochodzą do nas z tych ostatnich rozmów rzymskich.

Są to akcenty pewnego otrzeźwienia.

Atak na Ligę Narodów powstawał pod hasłem reformowania tych drobnych gwarancji, jakie obecnie rozpląsanemu w nieodpowiedzialności światu dawał pakt Ligi, *utrudniając*, a nie uniemożliwiając wojny.

Atak na Ligę Narodów prowadzony był pod hasłem antydemokratyczności międzynarodowej, pod hasłem wskrzeszenia hegemonji mocarstw; elita większych państw, elita bardzo ograniczona miała decydować hierarchicznie o losach wszystkich pozostałych.

Atak ten wiązany był z ideologją międzynarodową Mussoliniego. Jako apostoł tej ideologji Mussolini miał wszystkie pozory bezinteresowności.

Twierdzi on, że dla utrzymania pokoju, dla zażegnania straszliwej katastrofy niezbędna jest solidarność mocarstw. Twierdzi on, że dla uniknięcia tej katastrofy opłaci się złożyć okup — i że jeśli nawet okup ten wypłacać będą zmuszone owe państwa mniejsze, to jeszcze opłaci się to im i całej ludzkości, bo tylko za tę cenę utrzyma się pokój.

Zrealizowanie tych tez bez zreformowania Ligi Narodów, bez obalenia jej dogmatu równości wszystkich państw w stanowieniu o swym losie nie było do pomyślenia.

Nie dziwią przeto słowa Simona, wypowiedziane w Rzymie do prasy zagranicznej, po odbyciu rozmów z Mussolinim:

„Kiedy anglik — jak ja — lub francuz mówi o zreformowaniu jakiejś instytucji, oznacza to, iż bierze pod uwagę zmiany umożliwiające uczynienie jej struktury silniejszą, potężniejszą. Są również możliwości, że ludzie omawiają reformy nie dla wzmocnienia struktury, lecz dla osłabienia jej. Co się mnie tyczy — to jestem najmocniej przekonany, że rozmo-



Lord Simon sam bierze walizki i paczki...



...zabójczy gadacz Madariaga będzie sprawdzał „co Havasy o nim powiedzą"...



...Titulescu, Benesz i Jewticz radzić będą nad wzmocnieniem Małej Ententy...

wy, jakie miałem w trakcie ubiegłych dni, zmierzały do wzmocnienia i rozszerzenia skuteczności Ligi Narodów, a nie do ograniczenia jej sił. Jestem bardzo szczęśliwy, gdyż opuszczam Rzym z przekonaniem, iż mój osobisty punkt widzenia w tym zakresie podzielany jest przez mężów stanu państw, z którymi miałem możność konferowania: Duce np. wyraźnie wskazuje w komunikacie opublikowanym tej nocy taką samą opinję, jak moja".

Te słowa Simona stanowią zręczne dyplomatyczne podkreślenie uzgodnienia opinji Rzymu, Londynu, Paryża, iż należy dążyć do wzmocnienia Ligi Narodów i że pomawianie kogokolwiek z trzech partnerów o inne tendencje nie jest zgodne z prawdą.

Ten punkt osiągnięty w czasie podróży wypoczynkowej lorda Simona jest niewątpliwym plusem. Jaką rolę w tem porozumieniu odegrał urok lazurowej groty, w której przeczystej wodzie żadne tajemnice nie dadzą się ukryć — trudno ustalić. Spokój, pogoda i przezroczość wyspy Tyberjusza stały się być może zamknięciem rozdziału zatytułowanego „na pohybel Lidze".

* * *

Po rozmowach rzymskich — po przejeździe do Londynu i po powrocie do Genewy via Paryż — wypoczęty pan Simon spotka się znowu w gmachu Ligi Narodów ze swymi partnerami.

W chwili gdy słowa te dojdą do rąk naszych czytelników, zjazd genewski będzie w pełni.

Znowu kuluary „atlantyku" dobudowanego korpusu zapełnią się ministrami i dziennikarzami. Znowu tworzyć się będą grupki konspirujące i szepczące. Znowu delegaci amerykańscy pp. Davis i Wilson przechadzać się będą namaszczeni powagą i sfinksowatością, której przypisywane będzie namyślanie się nad przystąpieniem do Ligi.



...namaszczeni powagą amerykanie...

Znowu pełen impetu p. Titulescu wraz z Beneszem i Jewticzem radzić będą nad wzmocnieniem, zcaleniem wystąpień Małej Ententy i nad uzgodnieniem jej z posunięciami sojuszników.

Znowu experci będą badali pod mikroskopem ów przysłowiowy kij, zgadując, który koniec jest ofensywny, a który defensywny.

Znowu eksneutralni trafikanci zbrojeń na obie strony zastanawiać się będą, czy rozbrajać Niemcy... zaufaniem do nich żywionem, czy gotowością zbrojną tych, co wojny nie chcą, lecz pokojowi ofiar ze swego bezpieczeństwa na całopalenie oddać nie mają zamiaru.

Znowu ajencje urzędowe z Reuterem i Havasem na czele zmagać się będą, by każde słowo *ich* ministrów stawało się sukcesem dla kraju i w kraju.

Znowu świetny djalektyk ale często i zabójczy gadacz p. Madariaga będzie wnikał i sprawdzał „co Havasy o nim powiedzą" — a ich pracowity współpracownik genewski p. Ruffin niejedną gorzką chwilę z tej racji przeżyje.

* * *

Znowu...

Ale mimo to, że wiele słów tam pada w próżnię i że po zżęciu tych pustych kłosów Ruth cnotliwa moabitka niewiele by pełnych kłosów zebrała na tem ściernisku ligowem, mimo to jednak — dziś na Ligę musimy patrzeć jako na najistotniejsze utrudnienie podeptania traktatów, jako na instytucję, której istnienie może tłumić zarodki pożarów, która lonty z rąk może wytrącać — nie przez tworzenie supremacji mocarstw, ale przez międzynarodową współpracę i równouprawnienie w bezpieczeństwie wszystkich państw i państewek.



...Simon wypoczywa na Capri...

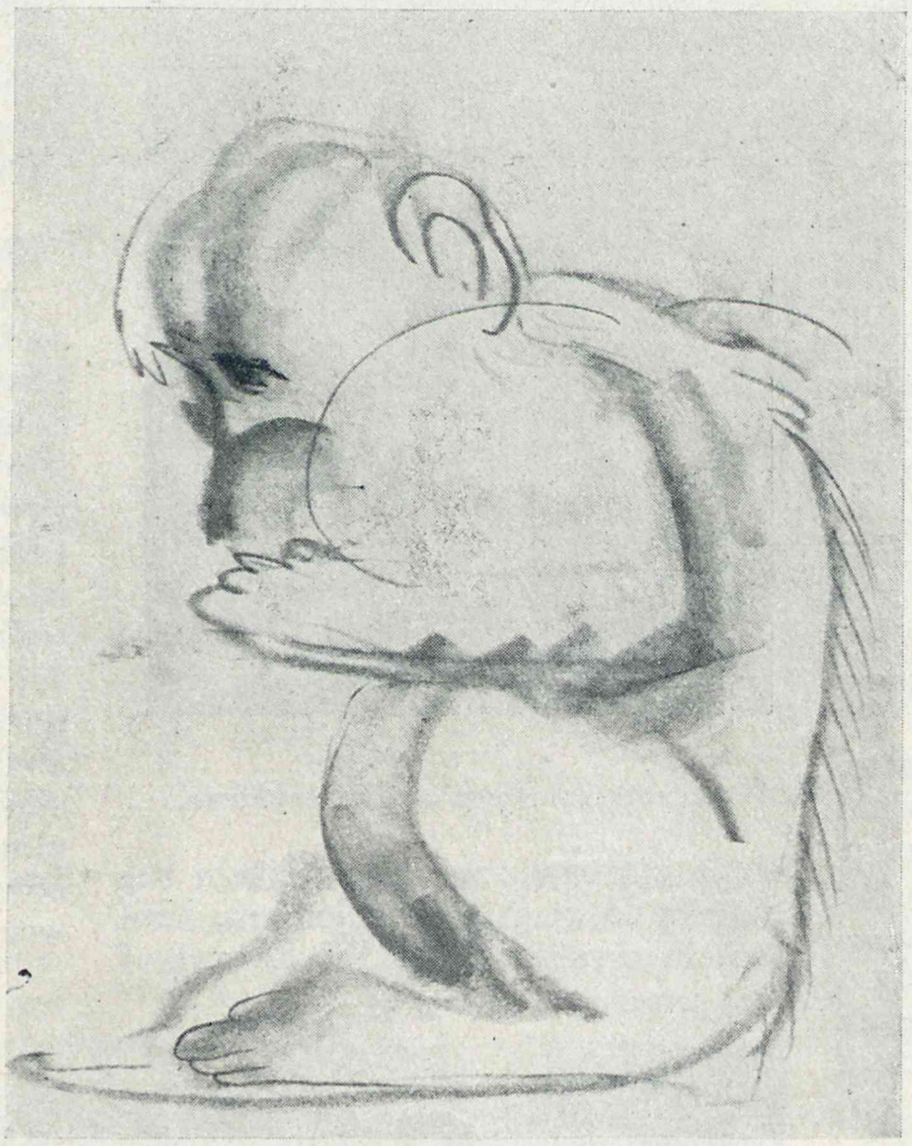
JERZY KOSSOWSKI

»SZCZĘŚCIARZ«

Wszyscy zazdrościli Krzyżakowi jego dziwnego szczęścia. Czego się tknął, udawało mu się nadzwyczajnie; gdzie inni łamali gnaty, on wychodził cało; kiedy miał lecieć, słońce wyłaziło choćby tylko na czas jemu potrzebny. Kiedy szukał kwatery, znajdywał ją w pałacu; gdy grał w karty, ogałacał wszystkich z pieniędzy; jechał na urlop, Włosi robili ofensywę; wracał na front, wszystko się uspokajało. Jednem słowem, Krzyżak był szczęściarz, jakich niewielu. Nie był ładny, a dziewczyny za nim szalały. Opędzać się musiał, bo byłyby marnie zginął. Byłyby go poprostu zjadły! Wszyscy zazdrościli Krzyżakowi jego dziwnego szczęścia.

A on sam brał je tak, jak je brać należało. Wszystko mu się wiodło i udawało... Choć nie. Nie wszystko... Nie. Nie ma szczęścia do zwierząt. Tak. Zapomniałem o tem powiedzieć. Poprostu ze zwierzętami nie wiedzie mu się. Tak się jakoś dziwnie zawsze składa, że jakiekolwiek zwierzę chowa, traci je w krótkim czasie w sposób nagły, czasami nawet przykry. A muszę dodać, że lubi zwierzęta i to nawet bardzo. Sam mi opowiadał, że zawsze przepadał za psami, jako mały chłopak hodował króliki, świnki morskie, gołębie, ale nigdy mu się dobrze nie chowały. Toteż kiedy miał lat piętnaście czy szesnaście, zarzucił wszelką hodowlę ulubionych przez chłopców zwierzaków. Gdy jednak podczas wojny znalazł się w eskadrze lotniczej na włoskim froncie, zdarzyło się tak, że na jakiejś kwaterze znalazł kota. Był to ot, mały kociak, mający chyba nie więcej, niż pięć miesięcy. Nie był ładny, ale za to jakiś taki śmieszny w kształcie, pełen zaufania w zachowaniu i, jak się Krzyżakowi zdawało, jakiś taki pieszczotliwy i inteligentny, że kiedy zmieniał kwaterę, zabrał kota ze sobą.

Kocisko zaaklimatyzowało się w nowej kwaterze bardzo szybko, gdyż łóżko Krzyżaka było dobrze znanym mu sprzętem. Aż Krzyżak począł przypuszczać, że trafił na kota, który się przywiązał do swego pana. Począł się kotem bliżej interesować i odkrył w nim dziwne talenty: w krótkim czasie nauczył kociaka skakać przez złożone w obręcz ręce, przez nogę, wskakiwać na wskazane szybkim ruchem przedmioty, wreszcie aportować. I to był tryumf nielada, kiedy koledzy, zaproszeni na przysłaną z Bochni kiełbasę i wódkę, podziwiali tresowanego Krzyżakowego kota.



— Ciekawy jestem, jakby się to kocisko zachowywało w samolocie? — rzekł raz jeden z poruczników.

— Wezmę go jutro z sobą — zdecydował odrazu Krzyżak, głaszcząc czarną sierść swego wychowańca.

Jak rzekł, tak i zrobił. Kiedy jechał na lotnisko, kot zachowywał się bardzo spokojnie. Siedział głęboko pod kurtką i wystawiwszy tylko łeb, patrzył bardzo ciekawie na mijane szybko przydrożne drzewa. W hangarze zainteresował się także tem i owem, a kiedy Krzyżak, już odziany w kombinezon i hełm, zawołał go do siebie, kot przyszedł najposłuszniej do nogi, a porucznik, dumny z karności swego ulubieńca, wziął go na ręce i wyszedł do maszyny, którą jeszcze raz przed odlotem sprawdzali mechanicy.

— Niech pan porucznik nie bierze kota ze sobą — skrzywił się feldwebel-mechanik Bauer. — Koty przynoszą pecha.

— Głupstwa gadasz — wzruszył Krzyżak ramionami. Wlazł na maszynę, sprawdził motor, pogłaskał nieco przestraszonego Maćka, dał znak puszczenia ludziom i poleciał.

Kot zachowywał się początkowo zupełnie spokojnie, potem nawet zasnął u nóg swego pana i spał podobno pół godziny. A kiedy Krzyżak szczęśliwie wracał, zbadawszy co mu nakazano, kocisko zbudziło się, przeciągnęło, wyginając wysoko w łuk kręgosłup i ogon i wskoczyło Krzyżakowi na kolana. Krzyżak pogłaskał kota i zaśmiał się szeroko, po swojemu:

— No, cóż, Maćku? Podoba ci się?

Kot przesunął się pod brodą lotnika i wspiął się przedniemi łapkami o burtę. Patrzył w daleki świat, zwracał głowę to w tę to w ową stronę, a potem przelazł zwolna Krzyżakowi pod pachą za siodełko i wdrapał mu się na plecy. Lotnik uczuł w pewnej chwili, że kot musiał wykonać jakąś ewolucję, więc obejrzał się i ujrzał już kota na lewem skrzydle. Maciek szedł po płacie najspokojniej wświecie, jak każdy inny kocur po dachu. Stanął na krawędzi skrzydła i opierając się mocno przed naporem wiatru patrzył w stronę domu, skąd go przed godziną zabrano. Nagle przysiadł, przycupnął i dał wielkiego susa w powietrze.

Krzyżak widział swego Maćka przez jakiś malusieńki ułamek sekundy rozpiętego w wspaniałym skoku, a potem stracił go z oczu.

Kiedy w chwilę potem lądował, był zielony jak topielec i czuł nieznośny ucisk w dołku. Od tego czasu jednak już nie hodował nigdy kotów. Nie obronił się jednak prośbom ordynansa, który mu przyprowadził pewnego dnia psa. Był to jakiś pinczer, niebardzo rasowy zresztą, niebardzo także mądry, ale dosyć przyjemny. Już po tygodniu jednak psisko zniknęło i, jak po pewnym czasie ordynans wyszpiegował, zniknęło wogóle z powierz-

chni ziemi, gdyż muzykanci jakiegoś pułku zabili psiaka i uwarzyli sobie gulasz. Od tego czasu Krzyżak długo nie jadał gulaszu, bo mu było psa żal, choć szybko przebaczył żołnierzom, wiedząc, że byli głodni. Nie wziął też drugiego psa, którego mu w kilka dni później znowu wynalazł ordynans.

Widocznie jednak nie było mu pisane nigdy już nie mieć żadnego zwierzaka przy sobie, bo w sposób zupełnie nieoczekiwany stał się nagle posiadaczem małpy. Tak. Najprawdziwszej, najautentyczniejszej małpy. Był to najprawdopodobniej jakiś magot, bo ogonem posługiwał się wprost po mistrzowsku, był młody i bardzo inteligentny. Krzyżak zastał go w nowej kwaterze, jaką mu przeznaczono w okolicach Trjestu, gdzie eskadra przez dwa miesiące odpoczywała. Małpiszon tak mu się podobał, że kupił go za nawet dosyć znaczną sumkę od Słoweńca, który niezbyt chętnie rozstawał się z magotem, i nazwał go Marcinem.

Koledzy zazdrościli Krzyżakowi nabytku, bo małpa była wesoła, ruchliwa i posiadała jakiś swój oryginalny wdzięk i dowcip. Oswoiła się bardzo szybko ze swcim nowym panem i najwyraźniej dawała dowody zadowolenia ze zmiany, jaką jej przyniósł los. Krzyżak prawie nie rozstawał się ze swym nowym faworytem. Już po kilku dniach prowadził go na cienkim łańcuszku na spacer, uczył, jak ma się zachowywać w samochodzie, zabierał go ze sobą do hangarów, a nawet raz wziął ze sobą w samolot, kiedy oblatywał jakąś odremontowaną maszynę. Marcin, bo tak ochrzcił magota, zachowywał się pierwszorzędnie. Zupełnie spokojnie i rozumnie, jakby latanie było dla niego rzeczą najzwyklejszą. Chciał wprawdzie nieraz wyleść z kombinezona, pod który go Krzyżak schował, ale gdy tylko uczuł chłód i pęd powietrza, chował natychmiast nos, wyzierając tylko przez szparkę. Po wylądowaniu porucznik zostawił go nieuwiązanego w maszynie, a Marcin siedział bez zdenerwowania, dotykając tylko delikatnie od czasu do czasu tych części, które go więcej interesowały. Kiedy Krzyżak dostał urlop, a było to jakoś w lipcu, zabrał Marcina ze sobą, już naprzód się ciesząc, jaką radość sprawi w domu takim prezentem. Miał też uciechy wiele już w czasie podróży, choć i kłopotu także trochę.

W domu oczekiwano porucznika z niesłychanem utęsknieniem. Na dworzec wyszedł ojciec i matka, dwie siostry i dwóch braci. Wszyscy niezwykle wzruszeni, uroczyści i dumni. Przyszli także licznie bliżsi i dalsi sąsiedzi, radzi nietylko zobaczyć znanego lotnika, o którym często pisano w gazetach, ale także pokazać się tej sławnej osobie. Oczywista, przyszły także i sąsiadki, a z niemi i ich córki, odświętnie odziane i piękne sobie rzeczy rojące. Wszyscy zebrani na dworcu kolejowym, łącznie z naczelnikiem stacji, zachwycali się porucznikiem, interesowali się jego odznaczeniami, ale jeszcze więcej... małpą. Krzyżak wesoły, rozpromieniony kłaniał się na wszystkie strony, a Marcin naśladował swego pana, salutując poważnie i rytmicznie, jak maszyna, nie zmieniając ani na chwilę wyrazu twarzy i wytrzeszczonych oczu. Zebrani na dworcu poczęli się zanosić od śmiechu, znajdując w Marcinie wiele podobieństwa do jednego z członków domu cesarskiego, szepcąc sobie jednak odpowiednie uwagi w wielkiem zaufaniu na ucho.

Wjazd do rodzinnego domu odbył się także tryumfalnie, bo dwiema dorożkami: w jednej jechał porucznik z rodzicami i Marcinem, a w drugiej bracia i siostry. Przed domem czekał cały personel ojcowej piekarni, razem z dwoma parobkami i trzema dziewczynami. Nad bramą widniał pod świerkową girlandą piękny napis „Witaj nam synu i bracie".

Krzyżak wzruszył się naprawdę. Wyskoczył z dorożki i począł ściskać piekarskich czeladników i całować dziewczyny, trzymając jednak cały czas pod pachą swego Marcina. Było coniemiara radości i pisku, bo dziewczęta przestraszyły się małpy, a potem znowu naprzemiany chciały ją sobie wydzierać, by się jej dokładnie przyjrzeć. Przy śniadaniu Marcin siedział na krześle obok swego pana i trzeba mu oddać sprawiedliwość, że zachowywał się bardzo przyzwoicie, kręcąc głową i patrząc ciekawie na



swe nowe otoczenie. Oswoił się też z niem bardzo szybko. Tem szybciej, że porucznik musiał składać codziennie po kilka wizyt i nie mógł brać małpy wszędzie, bojąc się, że n. p. pan burmistrz, radny miejski czy pani aptekarzowa mogą obrazić się o przyprowadzenie takiego nieproszonego gościa. Bardzo przykro było porucznikowi rozstawać się z Marcinem, gdy nadszedł czas powrotu do eskadry. Namyślał się długo i sam i z rodziną, czy brać Marcina na front, i wreszcie zdecydował przypadek. I to przypadek bardzo niemiły. Mianowicie Marcina spotkało nieszczęście. Prawdziwe nieszczęście: Naraził się jednemu z czeladników piekarskich, któremu kradł stale świeże, cukrem posypywane a tajnie sprzedawane bułeczki i rożki. Czeladnik początkowo nie wiedział, kto dzieli się jego potajemnemi zarobkami, ale raz podpatrzył, wyśledził Marcina, a że małpka nie uciekała zbyt szybko, przyzwyczajona do łagodnego obchodzenia się z nią, złapał biedne stworzenie, zaniósł do drewutni i jednem cięciem siekiery uciął mu ogon.

Nieszczęśliwy Marcin wyrwał się z rąk oprawcy i uciekł do swego pana. Wpadł do jego pokoju i rzucił mu się na piersi, krzycząc i jęcząc jak skrzywdzone dziecko. Krzyżak porwał małpkę na ręce i jak stał, bez bluzy pognał z nią do lekarza. Marcinowi założono opatrunek, położono do łóżka i pielęgnowano jak chore dziecko. Ale też i Marcin grymasił jak chore dziecko.

Krzyżak wyjechał na front, nie doczekawszy się wyzdrowienia magota, wziąwszy jednak od całej rodziny uroczyste przyrzeczenie, że będą uważać na Marcinka i zdrowego mu go oddadzą, gdy wróci do domu.

Marcin zdrowiał szybko i już po jakimś tygodniu mógł chodzić. Stracił dość wiele na swej ruchliwości i zgrabności, ale zato trzymał się bliżej domu, obsypanych cukrem rożków już nie kradł i oswoił się najzupełniej. Marcin tęsknił z początku nieco za swym panem, ale pieszczony przez jego rodzinę zapomniał, zdaje się, o nim zupełnie. Zaaklimatyzował się też bardzo dobrze, tak, że ani w jesieni, ani w zimie nie chorował ani razu. Nadchodzącą wiosnę witał początkowo przez podwójne szyby dobrze zaopatrzonych okien, a pierwsze ich otwarcie uczcił kwikiem i skokami. Łaził uradowany po całem podwórzu i wracał z pewną niechęcią do pokoju przed zmrokiem, mimo, że bywało jeszcze chłodnawo. Rodzeństwo porucznika Krzyżaka tak przyzwyczaiło się do tego, że Marcin wracał na wołanie do domu, iż zostawiało mu prawie przez cały dzień zupełną swobodę. Korzystał z tego Marcin i robił, co mu się podobało. Najchętniej płoszył kury, sprzątając im z przed nosa jedzenie, albo też bawił się ...nie bierzcie mu tego za złe, ze świnią. Tak. Ze świnią.

Jak ta przyjaźń powstała, nie wiedział właściwie nikt. Zdaje się od pierwszego wejrzenia, bo kiedy świnię wypuszczono raz z chlewa, Marcin pobiegł naprzeciw niej, stanął tuż przed olbrzymiem ryjem i najspokojniej w świecie począł ją drapać po uszach. Olbrzymi tłuścioch, chowany specjalnie na Wielkanoc, patrzył kosem oczkiem na Marcina i pomrukiwał z zadowoleniem, przekrzywiając łeb to w prawo, to w lewo. Cała rodzina Krzyżaków podziwiała odwagę Marcina i mądrość świni i bawiła się znakomicie ich przyjaźnią. A przyjaźń ta stawała się codzień silniejsza, i, jeśli tak powiedzieć można, piękniejsza. I zdaje mi się, że można tak powiedzieć, bo... posłuchajcie:

Kiedy świnię zamykano do chlewa, kwiczała tam i biła ryjem o drzwi i ściany, póki Marcin tam do niej przez dziurę w dachu nie wlazł. Wtedy uciszała się nagle i pomrukiwała radośnie. A kiedy wypuszczano ją rano z chlewa, póty biegała po podwórzu, szukając niecierpliwie, póki nie pokazał się w oknie jej Marcin. I nie była ta miłość bez wzajemności. Jeżeli Marcina wypuszczono na podwórze, to póty majstrował koło drzwiczek chlewa, póki swej przyjaciółki nie wypuścił. Łaził też za nią po całem podwórzu, drapał ją po uszach i wylegiwał się z nią do słońca. Zdarzało się jednak i tak, że świnia chciała wędrować po podwórzu, a Marcin chciał leżeć do słońca bez ruchu. Wtedy upominał ją szarpnięciem raz i drugi, a jeśli nie usłuchała, bił ją pięściami tak długo, aż zmusił do uległości. — Tak mijała im beztroska wiosna, aż wreszcie nadeszła Wielkanoc.

Na parę dni przed świętami przyjechał znowu na urlop porucznik Krzyżak. Marcin poznał go od pierwszego wejrzenia. Skoczył mu na piersi, tulił się, piszczał i dokazywał niesłychanie. Zaraz też przedstawił swemu panu swą przyjaciółkę. Porucznik zanosił się od śmiechu, patrząc na tę bardzo dziwną parę. Śmiała się i cała rodzina, nie wiedząc, że patrzy na najprawdziwszą miłość.

W chwili najgłośniejszej zabawy wszedł na podwórzec rzeźnik, zamówiony przez panią Krzyżakową. Ukłonił się wszystkim pięknie i podszedł do świni. Poklepał ją mocno po szynkach i rzekł:

— Bardzo fajna! — Powiedział to jednak jakimś takim głosem, że Marcin porwał się z przestrachem i uciekł do stajni. Rzeźnik ujął świnkę za ucho i fachowym ruchem począł ją kierować w stronę chlewu. Wpędził ją zgrabnie i prawie bez jej oporu. A kiedy już do zabicia biednej, tuczonej na święta bezrogiej wszystko było przygotowane, przypomniano sobie nagle o Marcinie. Szukali go wszyscy i wszyscy go wołali. Wołał go i porucznik i cała jego rodzina. Nie można było znaleźć Marcinka.

— Pewnie się zląkł nieznajomego i schował się w sianie nad stajnią — zdecydowała jedna z sióstr porucznika. — Jak przyjdzie pora obiadu, wróci sam.

Ale Marcinek nie wrócił. Przyniósł go do kuchni rzeźnik. A kiedy zbiegła się cała rodzina, rzeźnik opowiadał:

— Chciałem uderzyć świnię pałką w łeb, więcem spojrzał w górę, czy nie uderzę pałką w powałę, bo to chlew niski. Patrzę, a tu na belce siedzi se to nieboże. Ja świnię w łeb, a tu coś pac-bęc na ziemię. Ja się patrzę, a to małpa. Spadła i leży. Więc-em przyniósł...

Porucznik złapał Marcinka na ręce, począł nacierać, skrapiać skronie wodą, a potem pobiegł galopem do owego lekarza, który już raz Marcina leczył. Lekarz obejrzał, zmacał pulsy, posłuchał i rzekł:

— Zdaje się, że atak serca... Już nie żyje...

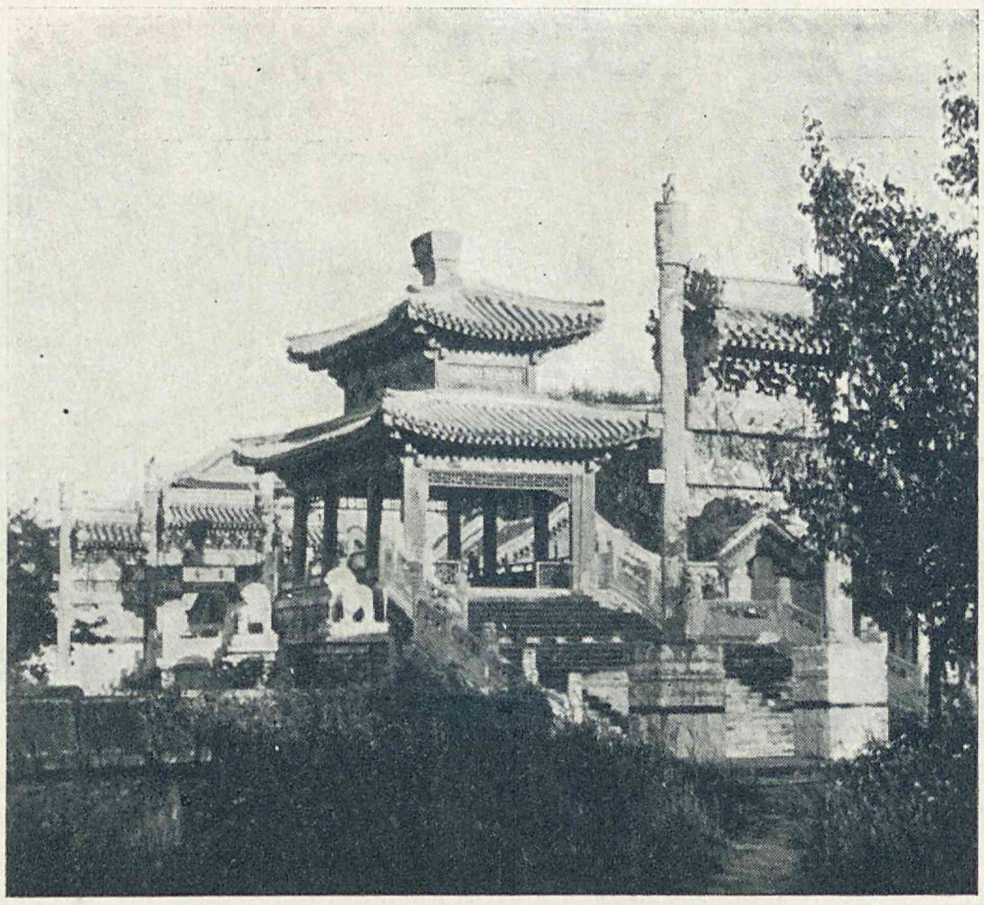
Smutne w tym roku miał święta porucznik Krzyżak. Nie miał szczęścia do zwierząt. Tak. Nie wiodło mu się ze zwierzętami. A lubił je serdecznie. Od tego czasu nie hoduje ani psów, ani kotów, ani małp. I w swym aparacie nigdy nie wiesza żadnych fetyszów w postaci piesków, kotków czy małpek z aksamitu.

Ilustracje Krystyny Binental

Pekin—zdetronizowana stolica

II.

Pośrodku miasta cesarskiego znajduje się, niedostępne dawniej dla zwykłych śmiertelników, Forbidden City, otoczone murem i częściowo wodą. Tu się mieszczą obecnie muzea, świątynie, sale tronowe, apartamenty cesarskie, ogrody, sale ambasadorów. Aby zdać sobie sprawę z ogromu tej rezydencji, trzeba wracać tam kilkakrotnie i wiele razy błądzić po marmurowych dziedzińcach i tarasach, których biel odcina się od purpury murów i żółtej glazury dachów. Przed cesarskim pałacem na ogromnym tarasie, obok kolosalnych kadzielnic, stoją bronzowe figury smoka i feniksa. Te symboliczne figury bajecznych zwierząt reprodukowane są wszędzie w marmurze, bronzie i kamieniu, bowiem, według wierzeń chińskich, po śmierci cesarz zmieniał się w smoka a cesarzowa w feniksa. Dziś jednak smutne robi wrażenie opuszczenie i grożąca ruina tych bezcennych skarbów sztuki, na których konserwację trzeba by łożyć ogromne sumy. A tych pałaców jest tyle — poza Forbidden City, świątynie, pałac i park Coal Hill — również rezydencja



Dawna rezydencja cesarska — Pałac Letni

cesarska, niezmierna ilość różnych świątyń w samym Pekinie, pałace i cudne ogrody Winter Palace (Pei-Ha) i większy jeszcze znacznie od niego Summer Palace (Wan-Szu-Szan) letnia rezydencja, o dwadzieścia parę kilometrów od Pekinu. Pałace w falistym, prześlicznym parku nad brzegiem stawu pokrytego różowemi lotosami, ogromne kolumnady wzdłuż stawu, mosty marmurowe, fantastyczne pagody i pawilony w kształcie łodzi z marmuru, tarasy i świątynie, strzeżone przez olbrzymie lwy majolikowe—wszystko to wydaje się czemś nierealnem, bajką chińską, stworzoną dla księżniczki Turandot.

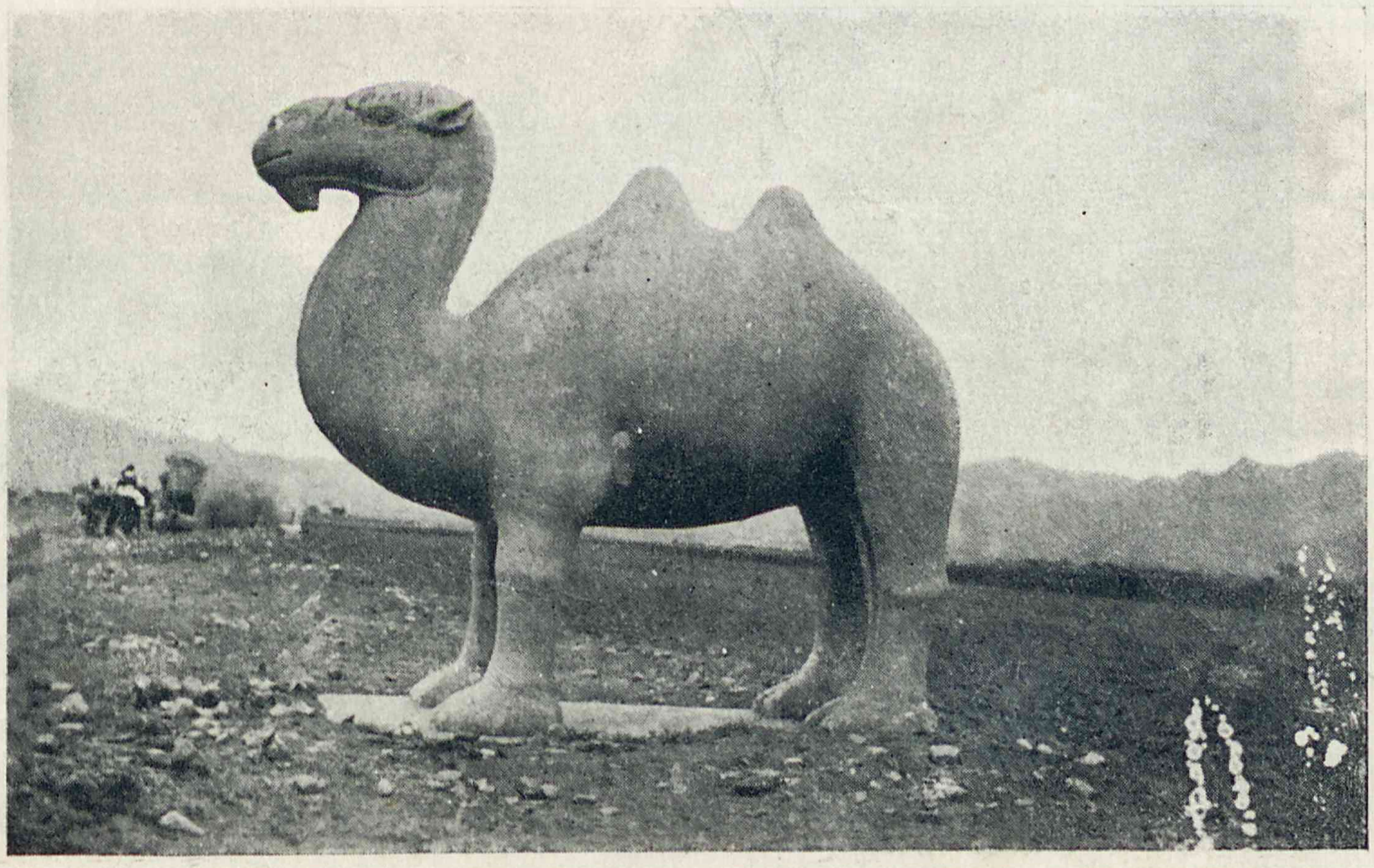
Z Summer Palace, po drodze dalej ku Western Hills, trzeba koniecznie obejrzeć uroczą pagodę Jade Fountain ze świątyńką Buddy i cudną świątynię Pi-Yun-tse „500 Buddów", w stylu nawpół indyjskim, gdyż zbudowana była dla jakiejś indyjskiej księżniczki.

Pekin, miasto ogrodów, parków o parusetletnich drzewach, jest także miastem niezwykłych kwiatów. Latem stawy Pałacu Zimowego i Pałacu Letniego pokryte są różowemi kielichami lotosów; jesienią kwiatem Pekinu jest tuberoza, chiński kwiat, którego całe plantacje rosną w okolicach Pekinu. Za 1 dolara chińskiego (około 2 złotych) dostaje się cały snop tych cudnych, odurzających kwiatów.

Próżno by jednak szukał kto w Pekinie „pekińczyków", słynnych piesków chińskich. Na psim targu, w jednym z „hutungów", sprzedają tylko żałosne kundelki i mieszańce skrzyżowane z różnych ras. Prawdziwe pekińczyki można znaleść dziś tylko... w Londynie. Ongiś pieski te należały wyłącznie do członków rodziny cesarskiej i nie wolno było hodować ich zwykłym śmiertelnikom — czasem tylko, za wielkie zasługi, otrzymał ktoś z cudzoziemców lub dworzan w darze. Podczas rewolucji, która zmiotła dynastję cesarską z tronu, zaufani cesarskiej rodziny wymordowali pieski, aby nie dostały się one w niepowołane ręce. Ocalały te tylko, które dostały się w ręce cudzoziemców i zostały wywiezione do Europy lub przypadkowo zabłąkane przechowały się w chińskich rodzinach.

Grobowce Mingów z aleją ogromnych kamiennych zwierząt i Wielki Mur — to nieodzowne zakończenie pobytu w Pekinie.

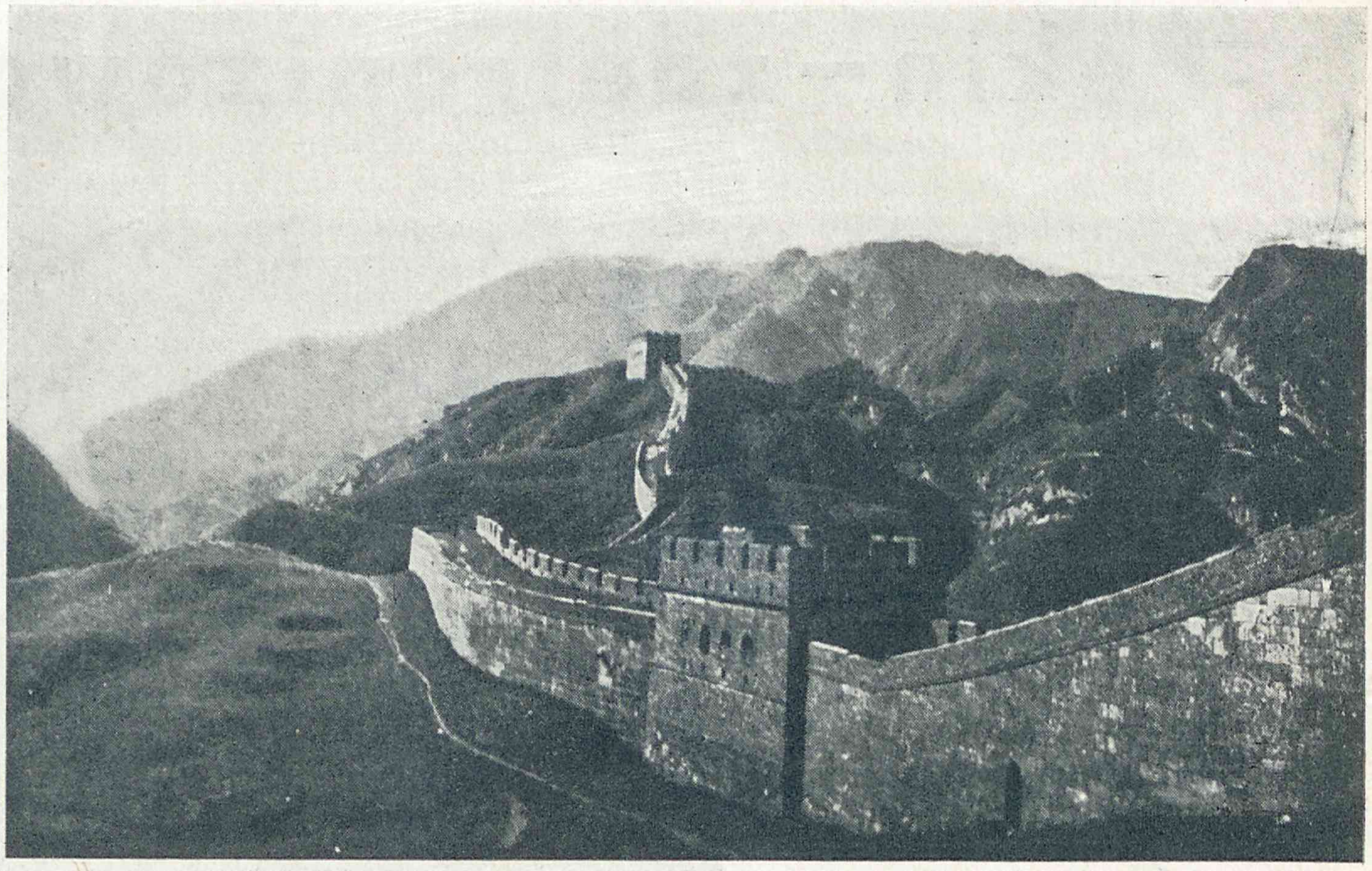
Wielki Mur Chiński — jakże cudownie i nieprawdopodobnie brzmią te słowa. Czyż nie słyszało, nie ma-



Droga do grobowców Mingów

rzyło się o nim od dzieciństwa, czytając opisy podróży i fantastycznych przygód, widząc go oczyma wyobraźni jako coś bajecznego. Ale rzeczywistość przewyższa może nawet marzenie, a wrażenie osiągnięte jest tak głębokie, że nie ustępuje wyobraźni.

Z Pekinu trzeba jechać koleją (ale jaką koleją!) linji Pekin — Kałgan cztery godziny do stacji Czin-Lung-Czao, w stronę wielkich zachodnich gór. Po 2-ch godzinach jazdy wjeżdżamy w górską okolicę i zwolna pociąg wznosi się w górę, aż do przełęczy Nankow Pass. Stacja Czin-Lung-Czao czyli Most Zielonego Smoka znajduje się już na znacznej wysokości; tu opuszczamy pociąg i stąd na grzbietach poczciwych osiołków



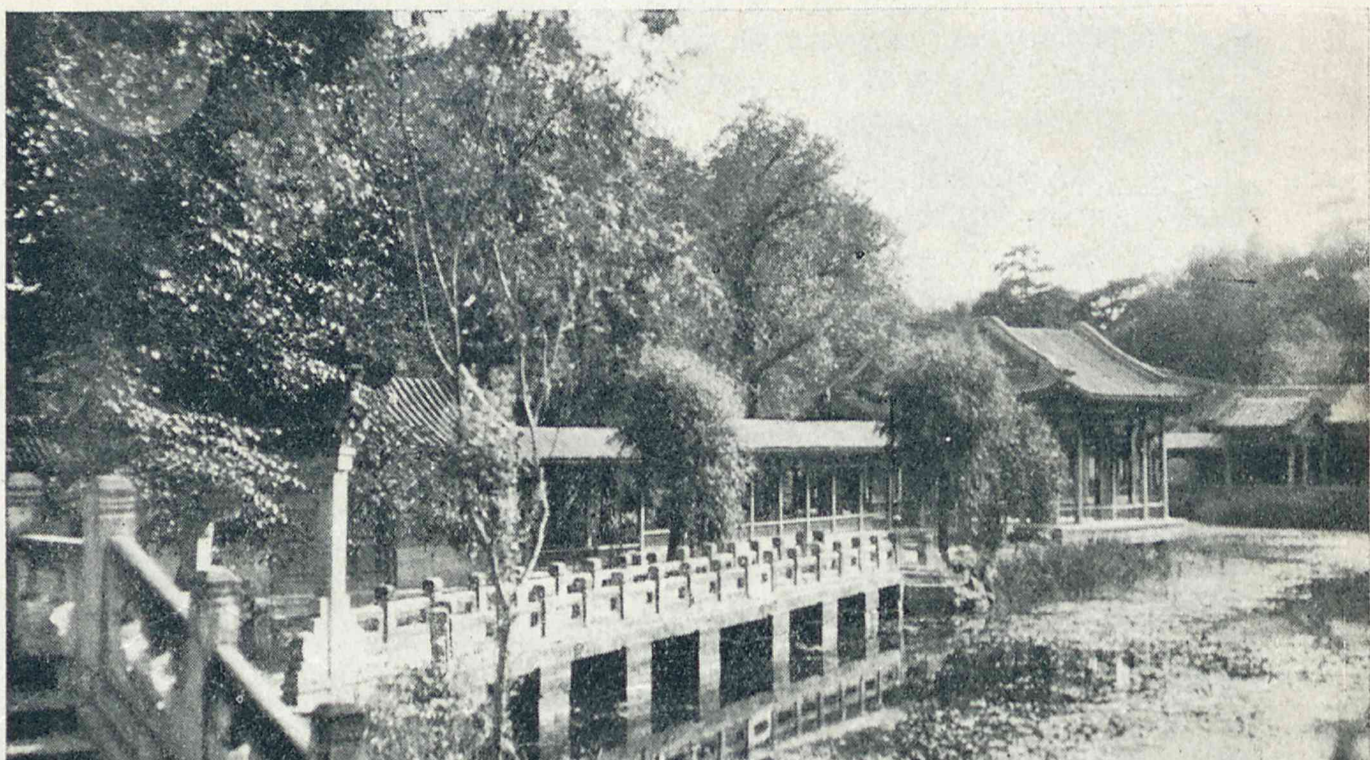
Wielki Mur — najpotężniejsza budowla świata



Lotosy i most marmurowy, prowadzący do Pałacu Letniego

piąć się będziemy jeszcze pół godziny w górę do stóp Wielkiego Muru. Potem już trzeba iść piechotą — po murze. Czasem, w miejscach, gdzie zrujnowane strażnice i baszty rozsypały się w gruzy, trzeba je obchodzić, wspinając się wzdłuż muru w wysokiej, gęstej trawie, pełnej wspaniałych górskich kwiatów. Tak pięknej szafirowej gencjany niema nigdzie w Alpach. Ale nie tylko piękne kwiaty znaleść można u stóp Wielkiego Muru — są tam również owady, których widok wystraszyć może najbardziej zapalonego zbieracza muszek i motylków. Są to chyba największe z istniejących owadów; wielkości średniego szczura, kształtem przypominają nieco szarańczę czy potworną muchę niezmiernej grubości; na szczęście jednak nie skaczą, ani nie fruwają! Są one mimo groźnego wyglądu całkiem nieszkodliwe.

Mur, zbudowany z potężnych głazów, najczęściej idzie granią góry, tak, że na obie strony roztacza się widok wspaniały na pasma gór, zarysowanych jak gdyby na kolosalnej mapie plastycznej. Szerokość muru sięga kilku metrów; czasami wspina się on do góry, to znów schodzi stopniami w dół. Co paręset kroków znajdują się wieże i



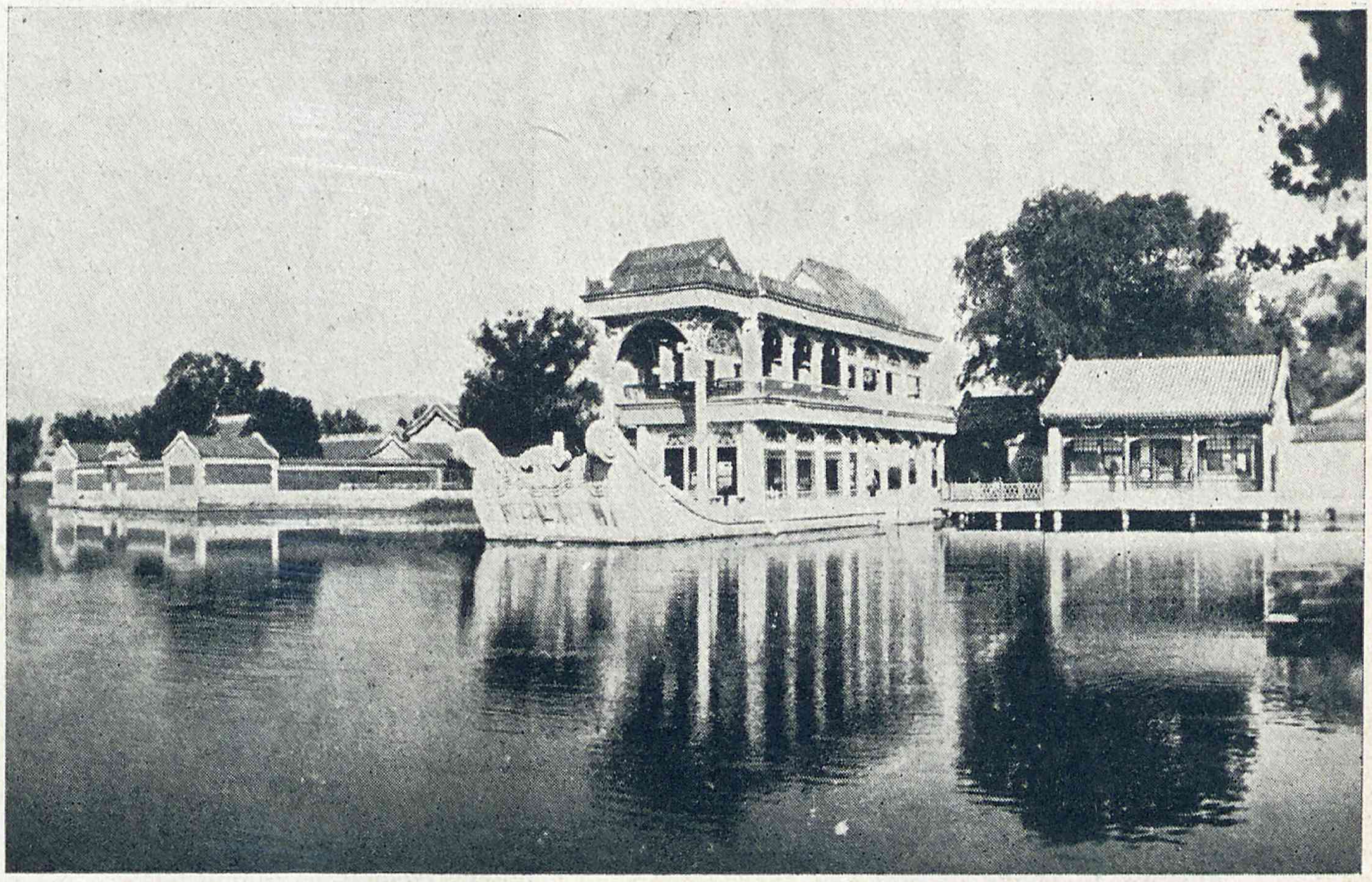
Ogród Pałacu Zimowego

strażnice; dawniej w każdej z nich znajdowało się kilku zbrojnych ludzi, którzy podawali sobie sygnały w razie zbliżania się wroga.

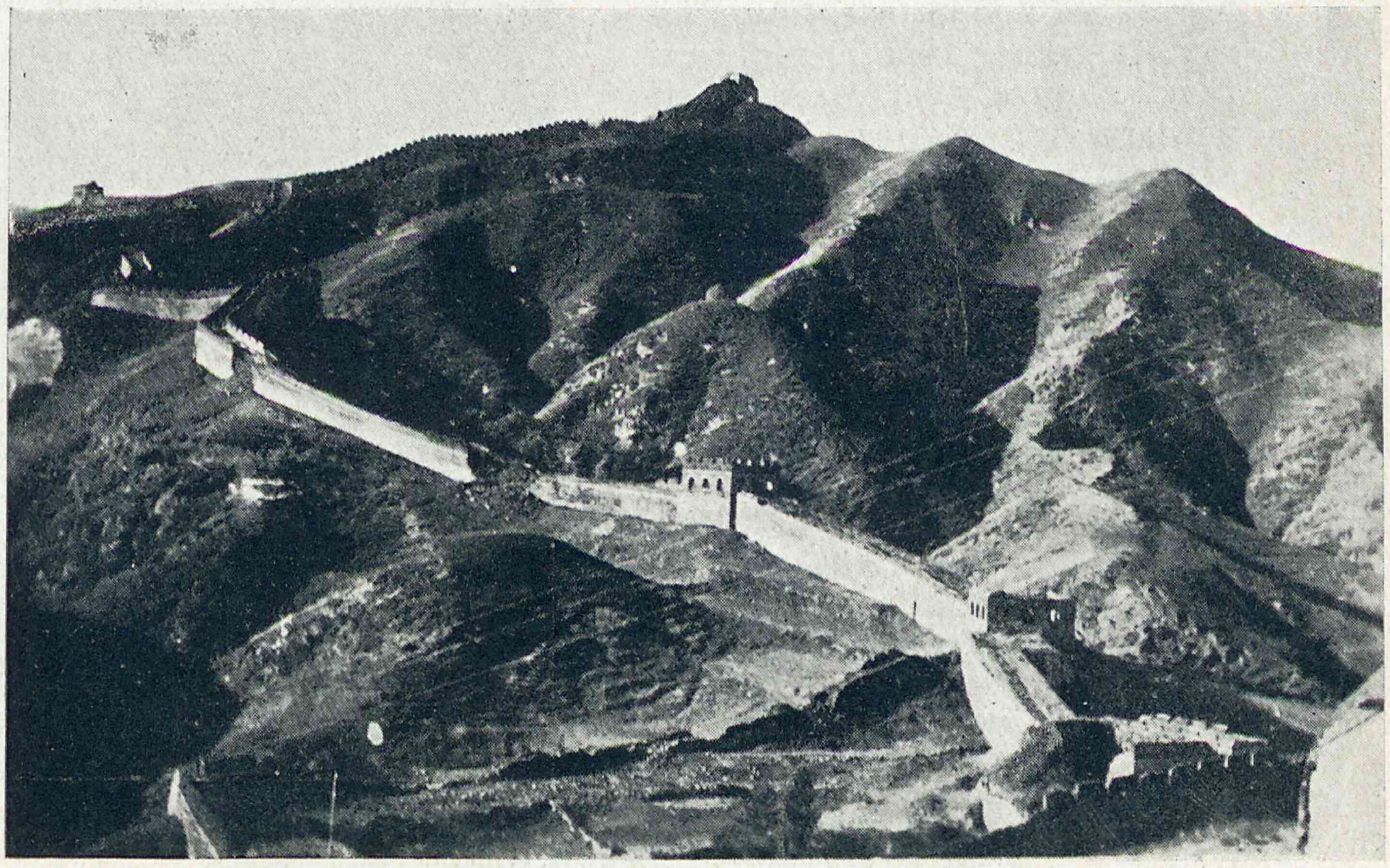
Dziś mur służy już tylko jako pomnik wielkości i potęgi Chin, olbrzymiej pracy ludzi, którzy go wznieśli — i jako przedmiot podziwu rzadkich turystów. Ta część muru, którą można podziwiać między Nankow i Czing-Lung-Czao, jest jednym z najlepiej zachowanych fragmentów Wielkiego Muru wewnętrznego; zewnętrzny mur najlepiej zachował się w Kałganie, na granicy Mongolji. Koniec muru znajduje się z jednej strony w Szan-Hai-Kuan, gdzie schodzi do morza; na zachód przechodził on przez pustynie i słone stepy Turkiestanu aż do miasta Karaszar. Długość jego obliczano — w przybliżeniu na 1400 mil ang. Początek budowy jego sięga dwuch wieków przed Chrystusem i znaczna część wzniesiona była za panowania cesarza Czin-Szi-Huang'a z dynastji Han.

Długo nie można oderwać oczu od niezwykłego widoku, który roztacza się z najwyższej w tym punkcie strażnicy. Trzeba jednak wracać po kilku godzinach, by zdążyć na pociąg do Pekinu. Trudno się rozstać z Wielkim Murem, jak trudno będzie również pożegnać się za kilka dni z Pekinem. Ktokolwiek przebył tu parę tygodni, nie może pozostać obcy czarowi tego miasta, którego wspomnienie pozostanie w pamięci, jak bajka wschodnia. Żegnając Pekin z żalem, pragnie się powrócić tu raz jeszcze.

Ad. Ka.



Łódź marmurowa w ogrodach Pałacu Letniego



Wielki Mur chiński

ŚWIAT KSIĄŻKI

Blok czerwono-błękitny

Parę dni temu ukazała się na półkach księgarskich w ładnej szacie zewnętrznej książka p. St. Zalewskiego, znanego publicysty i współpracownika „Kurjera Warszawskiego", pod tytułem „Blok czerwono-błękitny".

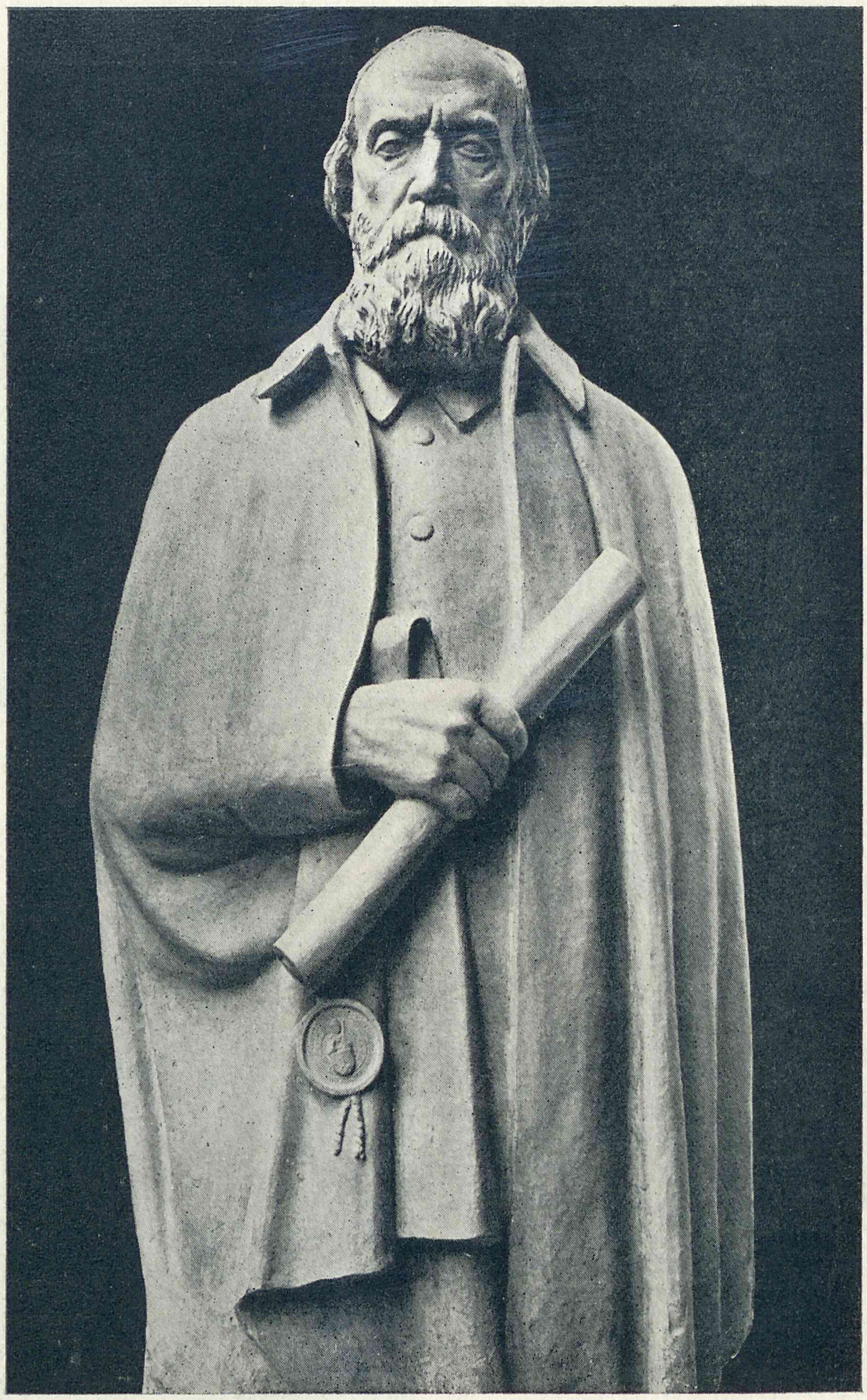
Książka ma poważny charakter publicystyczny i omawia w szeregu rozdziałów nasze najważniejsze sprawy i zagadnienia polityczne, interesujące ogół myślących obywateli. Skala poruszonych tematów jest b. szeroka, a potraktowane są one z dużym talentem, umiarem i poczuciem obywatelskiem. Zagadnienie władzy politycznej w Polsce, charakter polskiej demokracji, roli mieszczaństwa w życiu publicznem, sprawa żydowska, ukraińska i t. d. znalazły tu szerokie uwzględnienie.

Światopogląd autora wskazuje na jego powinowactwo z partjami prawicowemi. Nie jest to jednak wykład jakiejkolwiek doktryny partyjnej, lecz niezależne ujęcie i oświetlenie zjawisk i problemów życia polskiego. Można się z autorem w niektórych punktach nie zgadzać, ale trudno byłoby przejść nad jego wywodami do porządku dziennego. Teza autora o sprawowaniu w Polsce rządów przez blok konserwatywno - radykalny, przeciwstawiający się interesom średniego człowieka, nasuwa np. pewne wątpliwości. Waga obu tych skrzydeł nie jest równa, a w Bloku Bezpartyjnym reprezentowane są także klasy średnie. Ale ujęcie i uzasadnienie myśli autora jest b. ciekawe. „Blok czerwono-błękitny" powinien wywołać żywe zainteresowanie i wymianę zdań na temat poruszonych zagadnień.

Dr. Henryk Str.

ZOFJA NORBLIN-CHRZANOWSKA

SALON ZIMOWY w IPS'ie



H. Kuna „Portret prof. Zielińskiego"

Każdy Salon doroczny — czy to będzie Salon des Indépendants czy Salon d'Automne, Zachęta czy IPS — jest przypadkowem najczęściej zbiorowiskiem różnych indywidualności, tak że rozpatrywanie go jako pewnego ideowego ugrupowania okazuje się zwykle niemożliwe. Kilkuset artystów, z których każdy wystawia jedno lub dwa dzieła — czyż może być mowa o jednolitości?

Nie o to na „Salonach" zresztą chodzi. O co chodzi naprawdę — tego dzisiaj nikt nie wie, gdyż zbiorowiska takie dawno artyści sami uznali za przeżytek. Częściej się powtarzające wystawy indywidualne są bez porównania bardziej celowe, jeśli za cel każdej wystawy uznamy możność publicznego wypowiedzenia się artysty. Nikt przecież na żadnym „Salonie" dojść nie może do głosu. Już nietylko dlatego, że przemawia jednocześnie wielu, ale przedewszystkiem dlatego, że przemawia zbyt wielu.

Nie ustrzegł się tej wady i Salon Zimowy IPS-u. Natłoczenie obrazów w dwuch ciasnych szeregach jest przygnębiające. Gdyby dzieła miały być rozmieszczone racjonalnie, należałoby dwie-trzecie obrazów usunąć; w obecnej formie Salon przypomina raczej jarmark, gdzie wyzyskany być musi każdy kwadratowy centymetr.



Dawid Pfefer „Głowa"

Widz w pierwszej chwili staje oszołomiony. Rozpoczyna wędrówkę z miną cierpiętnika, wyławia z katalogiem w ręku co ważniejsze nazwiska, albo przebiega lekkim truchtem wszystkie sale dla odbycia pańszczyzny — poczem uznaje swą misję za skończoną i wychodzi.

Co zapamiętał? — Co zwróciło jego uwagę? — W tych warunkach nie żądajmy od niego zbyt wiele...

* * *

Wielką, radosną niespodzianką tegorocznego Salonu jest pokaźna ilość rzeźb.

Wśród nich dzieło wspaniałe, które samo jedno starczy za cały Salon: bronz Kuny „Portret prof. Zielińskiego". Wielki to zaszczyt dla niedoskonałej, często niedouczonej młodzieży malarskiej, że taki mistrz wystawia z nią razem. Znakomita technika, świetne zrównoważenie całości bryły i opracowanych szczegółów, pełnia wyrazu duchowego modela, olimpijski spokój kompozycji — oto zalety artysty wielkiej miary, artysty, który swego talentu nie przegadał w jałowych kawiarnianych dysputach, lecz rozwijał go w nieustannych poszukiwaniach, w wytrwałej, ciągłej pracy, w dążeniu do doskona-

ni, w rozmiarach — obrazki małe. Uprasza się o powstrzymanie łatwych uśmieszków. Wiadomo, że wielkości sztuki nie mierzy się na centymetry, umiemy wszyscy na pamięć, że Stanisławski etc. etc. — tem niemniej, odkąd istnieje malarstwo, nikt nie stworzył dzieła *monumentalnego* na pięćdziesięciu centymetrach w kwadrat. O braku tego dążenia w obecnym Salonie myślę — a wraz z nim o panicznym lęku przed kompozycją. Kilku odważnych dało obrazy kompozycyjne — mniej czy więcej doskonałe, w to nie wchodzę — reszta wystawiła powódź drobnych szkicyków, których w większości wypadków nie można traktować na serjo, jako obrazów skończonych. Machnięte w godzinkę te obrazki dają mizerne pojęcie o poziomie rzemiosła malarskiego naszej awangardy artystycznej (bo chyba za taką pragnie uchodzić większość wystawców IPS-u, przeciwstawiając się znanym oddawna pompjerom?).

Najsmutniejszy jednak jest fakt, że w tej sztuce „młodej" trudno się dopatrzeć młodości. Z przykrością stwierdzić należy nagminny nawrót do impresjonizmu, w jego formie najbardziej niedbałej.

Kierunek ten wybuchł przed półwiekiem jako gwałtowny protest



Henryk Kuna *„Portret gen. Zamorskiego"*

łości a nie do przejściowych sukcesów.

Stwierdzić należy z radością, że IPS zgromadził cały szereg młodych indywidualności rzeźbiarskich, bardzo ciekawych i odpowiedzialnych. Jest to niewątpliwie rodzaj sztuki, który samym *materjałem* zmusza do większej rzetelności, niż malarstwo. W rzeźbie blaga i nieuctwo nie dadzą się łatwo ukryć. Rzemiosło jest tu wymagające i surowe. Opanowali je w wysokim stopniu Karny, Keilowa, Komaszewski, Strynkiewicz, Pfeffer, Rzecki, Niewska i inni.

Obecna wystawa najoczywiściej przeczy rozpowszechnionemu mniemaniu, jakoby Polska nie miała talentów rzeźbiarskich. Talenty są, a z rezultatów dotychczasowych sądząc, rozwijają się bardzo obiecująco.

* * *

Pod względem malarskim ma Salon obecny w IPS-ie pewne cechy charakterystyczne, które widzowi nieuprzedzonemu rzucają się w oczy. Przeważa w sposobie wypowiedzenia się impresjonizm, w technice — poziom mniej niż śred-



W. Borowski *„Kompozycja"*

przeciwko pracownianemu zakłamaniu, przeciwko brunatnym sosom i akademickiemu skostnieniu w fotograficznych doskonałościach. Impresjonizm, jak wiadomo, wypełnił swą historyczną misję przedewszystkiem przez wyprowadzenie artystów w plener, przez nauczenie ich patrzenia na światło i na kolor. Wiadomo też jednak powszechnie, że zdobyczy tych nikt potem już sztuce nie odbierał, a sam kierunek, rozpływając się z czasem w bezmyślne paćkanie kleksów, przerodził się w manjerkę znanych do znudzenia „szkiców", „studjów", „pejzażyków", „kwiatów w wazonie" etc. Gdy na miejsce *radosnego poszukiwania* i zmagania się pierwszych impresjonistów zapanowało zaniedbanie formy i uświęcone formułki na każdy „zachód słońca" i „wschód księżyca" — impresjonizm zmarł na uwiąd starczy.

Niemało mu do tego pomogli futuryści, kubiści i formiści przez swe krańcowe odsądzanie impresjonizmu od czci i wiary, głosząc w imię kontrastu religię formy i bryły. A jeśli ich credo też było jednostronne (czego dowodem, że i po nich już trawa zarosła) — to jednak zasługą ich niewątpliwą było definitywne wykończenie napół żywej jeszcze mumji, za jaką słusznie uważać było można impresjonizm w przededniu wielkiej wojny.

Dlaczego do zgalwanizowania tego nieboszczyka zabrała się teraz gremjalnie większość młodych artystów, których prace oglądamy w IPSie — trudno dociec. I skąd nagle w sztuce polskiej po formizmie, po Witkowskim, po Borowskim, po Skoczylasie, to wyłamanie młodych w stronę najtańszej łatwizny, wymigiwanie się kolorem — i kolorkiem — od rzetelnego wysiłku artystycznego — tego zrozumieć nie sposób.

Problemu formy, rysunku, nawet światła i cienia nie stawia sobie prawie nikt. Nieznośny pointilizm — czy confettizm — usiłuje osłonić, jak wygodny parawan, wszelką dowolność i nieudolność.

„Stara gwardja" tylko, t. j. młodzi obrazoburcy z przed lat piętnastu, bronią zdobytych pozycji. „Głowa" Wąsowicza, kompozycje Borowskiego są pracami *prawdziwych* malarzy. Kramsztyk umie malować — ale akt, który obecnie wystawił, woła o pomstę do nieba jako schlebianie najtańszym gustom publiczności. Gdzież Kramsztyk dawniejszy, ten z epoki portretu Lechonia u Baryczków?

Z hałaśliwego oceanu malarstwa wpływa się na chwilę, jak do cichej przystani, do sali grafików. Tom, Cieślewski, Mrożewski — dają rzeczy zrównoważone, technicznie dociągnięte, bez taniej blagi.



Keilowa „Portret"



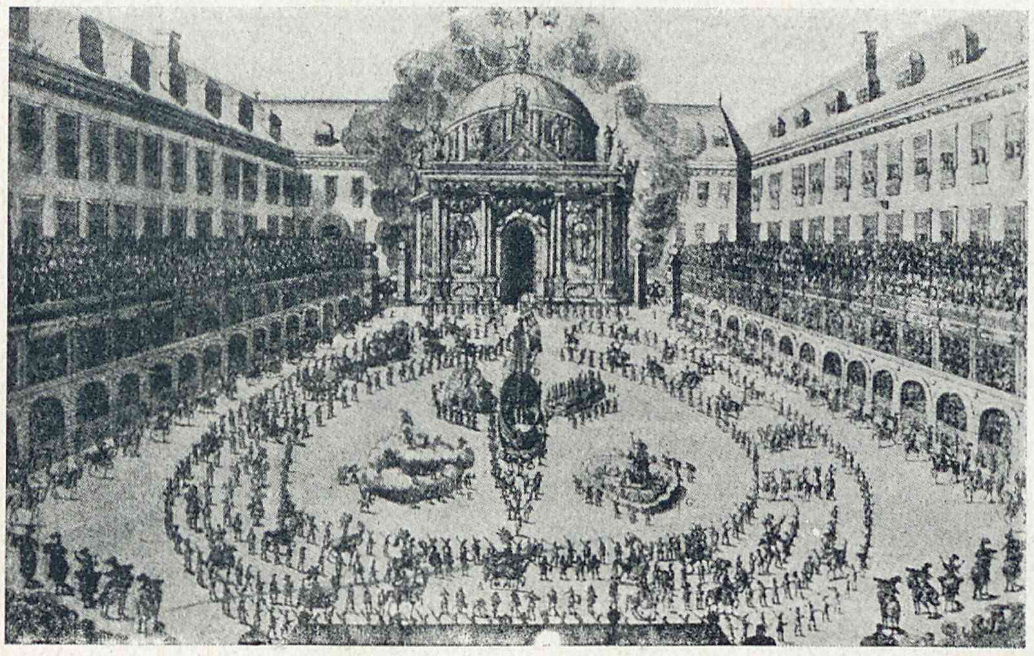
Józef Tom „Autolitografja"



A. Karny „Portret"

MUZEUM PRZEMYSŁU I TECHNIKI — ul. Krak.-Przedm. Nr. 66 (I część zbiorów) i ul. Tamka Nr. 1 (II część zbiorów), otwarte w środy, czwartki, piątki, soboty i niedziele, od godz. 10-ej do 14-ej, pozatem w piątki dodatkowo od godz. 17-ej do 20-ej.

KLEMENS KRAUSS W FILHARMONJI



Przedstawienie w Hofburgu w r. 1667



Gmach Opery w Wiedniu

Ostatni piątkowy koncert filharmoniczny był pokazem symfonicznym nietylko z nazwy, ale i z treści: w programie 2-ga symfonja Beethovena, koncert skrzypcowy Brahmsa, „Przygody Sowizdrzała" Ryszarda Straussa. Wykonano więc dzieła znaczone majsterstwem twórczem, dzieła markujące trzy rozmaite fazy rozwoju nowoczesnej muzyki symfonicznej.

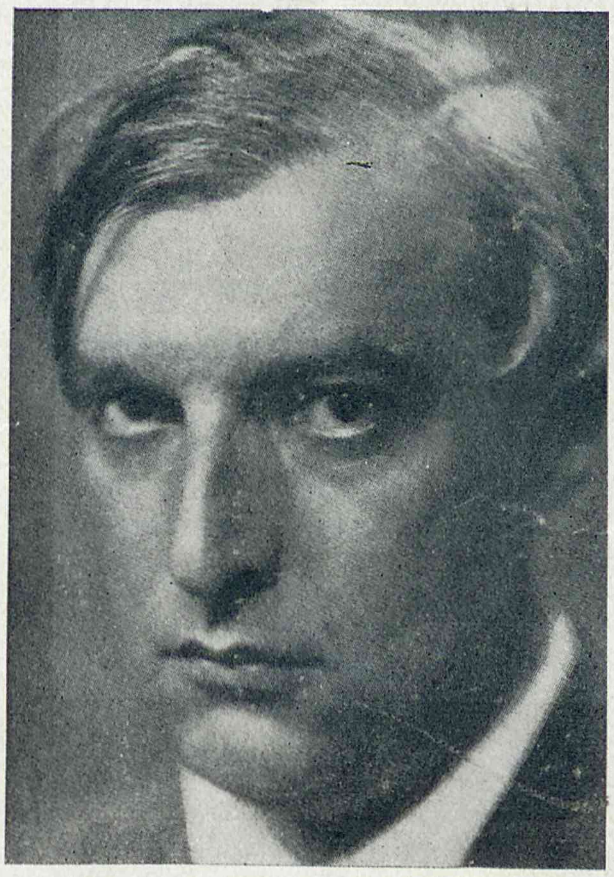
U pulpitu stanął tym razem p. Klemens Krauss, dyrektor słynnej państwowej Opery wiedeńskiej, kapelmistrz o bogatej przeszłości dyrygenckiej, wykonawca, będący w pełni posiadania talentu szefa orkiestrowego. P. Krauss dowodzi zespołem ręką pewną, gestem niezawodnym, posiada plan „batalji" muzycznej dokładnie opracowany w ogólnym rzucie i w szczegółach.

Znakomity wiedeński kapelmistrz trafia w sedno rzeczy przy ujmowaniu dzieła od strony jego stylu. Pod batutą p. Kraussa kompozytorskie oblicze Beethovena z pierwszego okresu twórczości zachowało swój naturalny wyraz: wyłoniło się ono z 2-giej symfonji zaróżowione rumieńcem młodości, z zerkającym jeszcze wzrokiem w kierunku poczynań jego sławnych poprzedników. „Przygody Sowizdrzalskie" dyrygent „opowiedział" z brawurą, językiem wyrobionego oratora, umiejącego rozrzucać pełną garścią blask kolorystyki strausssowskiej.

Obecność w Warszawie muzyka austrjackiego skierowała mimowolnie nasze myśli ku Wiedniowi, mającemu od dawien dawna pełne prawo do pieczętowania się szlachetnym herbem artystycznym ze znakiem liry. Już cztery pałki muzycznej korony wiedeńskiej: Mozart, Haydn, Beethoven i Schubert wystarczają nadto, aby stała się ona emblematem królewskości, a przecież są jeszcze i inne, powstałe w epoce poprzedzającej „wielkich klasyków", lub w okresie poschubertowskim, chociażby te, które wyciosały zwinne, lekkie ręce Straussów pod postacią tęsknych, niefrasobliwych walczyków naddunajskich.



Eugenja Umińska



Klemens Krauss

W swej tradycji pielęgnowania sztuki operowej Wiedeń sięga do w. XVII. Był wówczas wielkiem ogniskiem w tej dziedzinie. Sławne są w historji widowisk muzycznych przedstawienia teatralne za czasów panowania cesarza Leopolda I. Słynny jest w artystycznych kronikach wiedeńskich moment, w którym znakomity kompozytor włoski, Marc-Antonio Cesti wystawił swą *festa teatrale* „Il Pomo d'Oro". Było to w roku 1666-ym.

Wróćmy jednak do Warszawy. Jeszcze kilka słów o występie p. Eugenji Umińskiej na omawianym tutaj koncercie. Konstatujemy: skrzypaczka wykonała bardzo dobrze trudne dzieło Brahmsa. Talent młodej wirtuozki tężeje. Gra jej opiera się na gruntownie opanowanej technice, interpretacja znajduje się pod znakiem mądrej rozwagi i czystości artystycznej.

L. Binental

ZBIGNIEW GRABOWSKI

POECI KRAKOWSCY

(Korespondencja własna „Świata")

Dzisiejszy Kraków nie posiada właściwie żywotnego pisma literackiego o szerokich horyzontach i kontakcie z kulturą europejską: „Gazeta literacka" stanowi próbę bladą i jednostronną, „Linja", grupująca szczupłe grono teoretyków „nowej sztuki", wychodzi kapryśnie i posiada zbyt nikły zastęp czytelników. Godnie reprezentuje Kraków znakomity miesięcznik „Przegląd współczesny", gromadzący pierwszorzędne pióra polskie i obce, a prowadzony z rozmachem przez prof. Stanisława Wędkiewicza. Niestety rozchodzą się pogłoski, że ten prawdziwie europejski miesięcznik zagrożony jest w swym bycie. Utrata tego pisma byłaby fatalnym ciosem dla kultury dzisiejszego Krakowa. Na placu pozostałby wówczas tylko solidnie redagowany organ O. O. Jezuitów „Przegląd powszechny", użyczający wiele miejsca zagadnieniom literatury i zamieszczający stale żywą, choć stronniczą, kronikę wydawnictw.

Brak nowoczesnego, wszechstronnego pisma literackiego zastępują ludziom pióra w Krakowie liczne „żywe dzienniki" i wieczory zbiorowe autorów. W ostatnich czasach przedefilowało przed oczyma publiki krakowskiej kilka takich „Marszów na Kraków", „Profili Krakowa" i t. d. Trzeba przyznać, że publiczność witała stale te imprezy wdzięcznie, dowodząc, że słowo poetyckie ma zawsze wzięcie w czcigodnych murach grodu podwawelskiego.

Gorzej, że brak Krakowowi jakiegoś punktu centralnego, gdzieby skupiały się żywioły kulturalne. Ani „Litart", który przez jakiś czas objawiał żywszą działalność głównie na polu organizowania wieczorów autorskich, ani grupa „Linji", ani Związek zawodowy literatów krakowskich nie potrafiły stworzyć środowiska, klubu czy koła, gdzie możnaby podyskutować na tematy aktualnie i posłuchać rzeczy interesujących. Jest to tem większy wstyd dla Krakowa, że Lwów, który chyba znacznie więcej ucierpiał przez odpływ sił literackich, niż Kraków, podtrzymuje swoje tradycje w doskonale przez Ostapa Ortwina kierowanem Kasynie artystyczno-literackiem.

Wśród młodych poetów rdzennie krakowskich najstarszym pracą literacką jest Józef Aleksander Gałuszka. Poeta ten, o dużym talencie słownym i wrodzonym patosie, został niesłusznie potraktowany przez pewnych nowatorów, którzy odsądzili go od wszelkich zasług i walorów. Gałuszka ma w swoim dorobku wiersze dobre, mocne w wyrazie. Brak krytycyzmu kazał mu wydawać utwory słabsze, wiersze bombastyczne, używające wytartych rekwizytów. Działalność Gałuszki czeka sprawiedliwej i spokojnej oceny.

Trudno właściwie zaliczyć do „młodych" płodnego autora Antoniego Waśkowskiego, który kontynuuje tradycje modernizmu w formie i stylu, bez widocznego niekiedy pożytku i celu. Waśkowski jest zaprzeczeniem nowoczesności, a jego wyjałowienie nie przeszkadza mu w pisaniu ustawicznem, górnem i niekiedy zdecydowanie mętnem.



Kraków — Pałac Potockich

Do starszej generacji zaliczyć trzeba Jana Pietrzyckiego, solidnego cyzelatora formy, autora szeregu dobrych wierszy, który jednak wpadł przedwcześnie w szablon. Zwłaszcza „włoskie" liryki Pietrzyckiego pachną mdło i przypominają cukierkową manjerę Stachiewicza.

Duże możliwości zapowiedział w swym tomie Konopka, zamilkły od tego czasu. Tom ten posiadał rzeczy głębokie, przemyślane, pełne kultury. Szkoda, że Konopka wycofał się natychmiast ze szranków czynnej poezji, gdyż mógł stać się dla Krakowa siłą potrzebną i cenną.

Grupa „Czartaka", choć niewątpliwie ocierająca się o Kraków, jest zjawiskiem tak odrębnem, że nie chcemy traktować go w łamach tego przeglądu. Zaznaczyć tylko wypada, że dawny wódz tego kierunku: Emil Zegadłowicz po burzliwem zerwaniu z Poznaniem i wylaniu swego oburzenia na to miasto w formie równie ostrej, jak — niesprawiedliwej, przeniósł się do swej górskiej samotni w Gorzeniu Górnem pod Wadowicami. Ostatnie utwory Zegadłowicza, zawarte w tomie „Nad brzegami Zodjaku", świadczą, że wraca on do dawnej, świetnej formy. Jest to rzecz radosna dla tych wszystkich, których szczerze martwiły niepotrzebne dłużyzny i gadulstwa poprzednich tomików.

Z dawnej młodej awangardy odszedł do Paryża Jan Brzękowski, ongiś zapalony wyznawca francuskich nowatorów. Poeta to ciekawy, dobry konstruktor, pragnący rzeczy nowych. Jego ostatnie wiersze, jak „Autoportret", brzmią zrozumiale i jasno, dowodząc niewątpliwego postępu i odwrotu od skrajności surrealizmu czy dadaizmu. Powieści Brzękowskiego, jak: „Psychoanalityk w podróży" oraz „Bankructwo prof. Müllera", znamionują piękną ambicję wyjścia z szablonu. Brzękowski stoi przed epoką rozkwitu.

Podobne przejście od rozwichrzonego nowatorstwa i pozerskiej mętności do spokoju i męskiego umiaru obserwujemy

u ruchliwego entuzjasty włoskich futurystów, poety i powieściopisarza J. Kurka. Jego wiersze pełne męczącej pretensjonalności i pseudo-ekspresji klarują się świetnie w tomie „Śpiewy o Rzeczypospolitej". Po eksperymentalnych powieściach „S. O. S." i „Andrzej Panik", gdzie sensacja i chęć „epatowania burżujów" walczyła z pragnieniem poważnego wysiłku artystycznego, dał Kurek w swym świeżo ogłoszonym reportażu „Mount Everest" próbę solidną, prostą, godną pochwały.

Zamilkł zrośnięty dawniej z Krakowem Jerzy Stępowski, umysł ciekawy, poeta w gruncie niewątpliwie szczery. Jego powieść „Sad w pośrodku miasta" miała przebłyski nowości i świeżości, tonącej w pretensjonalności i ekscentryczności. Stępowski z chwilą przesiedlenia się do Poznania zawiesił swą twórczość zdaje się na kołku.

W Poznaniu również osiadł subtelny poeta krakowski Jan Sztaudyngier, autor kilku tomików owianych szczerą poezją, choć może nieco nieśmiałych i pozbawionych podłoża przeżyć. Talent Sztaudyngiera przechodzi jakieś przemiany, o czem świadczyłaby jego ostra satyra, wydana w Poznaniu. Narazie jednak poza kilkoma dobremi nowelami o oryginalnem spojrzeniu na świat nie dał niczego większego.

Niewątpliwe odczucie poety posiada Witold Zechenter, ongiś członek „Litartu" i wydawca bojowej „Gazety literackiej". Praca dziennikarska wypaczyła jednak jego talent, sprawiając, że ujawnia on coraz większą skłonność do łzawego, taniego sentymentalizmu. Proza Zechentera zmanjerowana pod wpływem gazety idzie w tym samym kierunku. Poeta źle gospodaruje swym talentem, który w tomikach „Linja prosta" i „Niebieskie i złote" dał kilka pełnych wdzięku błysków.

Wzorem swoich dawnych druhów futurystycznych przeszedł Juljan Przyboś, ongiś filar „Zwrotnicy", ewolucję ku ładowi i umiarowi. Jego tom ostatni „Wgłąb las" zawiera utwory dojrzałe, przemyślane, doskonałe w robocie konstrukcyjnej. Myśl, słowo, obraz nakrywają się doskonale. Talent Przybosia, nawskroś męski i twardy, stoi w obliczu nowych dokonań.

Mieczysław Lisiewicz, poeta-lotnik, najciekawszy był w swoich wierszach lotniczych, gdzie ujął problem od strony „fachowca". Inne jego utwory były już znacznie słabsze, choć zawsze pełne kultury. Lisiewicz jest talentem niewyklarowanym, może niedość samokrytycznym.



Kraków — Sukiennice Fot. „Photo-Plat"

Ten brak samokrytyki zaznacza się również u oryginalnego twórcy: Adama Kadena, autora kilku tomików wierszy i eksperymentalnego dramatu „Sen Kini". Kaden jest człowiekiem wyrafinowanej, wielkiej kultury i wielkiej — nonszalancji. Jego wiersze to raczej notatki ze szkicownika, aniżeli skończone całości. Niemniej czai się w nich szczerze poetyckie spojrzenie. Większa selekcja i większa dbałość w opracowaniu dałyby napewno dobre efekty.

Jerzy Braun, dawny współredaktor „Gazety literackiej", debjutował w Krakowie i zapowiadał się jako poeta znacznej klasy. Wiersze jego przepojone elementem zmysłowym i malarskim odznaczały się żywiołową bujnością słowa. Powieść „Hotel na plaży" zdradzała ambicje nowości. Rzecz dziwna, że Braun po przeniesieniu się do stolicy wpadł w tak odległą od jego linji, nieco mętną filozofję, którą propaguje równie mętnemi artykułami. Braunowi brak pogłębienia myślowego, czego dowodem jego zręczna sztuka „Europa". Kto wie jednak, czy nie na scenie właśnie leży przyszłość tego ruchliwego, niegdyś doskonale zapowiadającego się talentu.

Jerzy Stanisław Polaczek kontynuuje tradycje Wierzyńskiego w swoich tomikach, jak „Algebra zwycięstwa" i „Pochód olimpijczyków". Obok wierszy dobrych, są tam wiersze zdecydowanie blade.

Plejada zupełnie młodych poetów krakowskich, jak Świeżawski, Telega i Frasik, nie posiada jeszcze wyrobionego oblicza. Najwięcej siły wydaje się mieć Świeżawski.

Ten przegląd zakończyć trzeba dwoma nazwiskami: Marjana Czuchnowskiego i Tadeusza Peipera. Czuchnowski zadebjutował świetnie „Porankiem goryczy". Krytyka pasowała młodego autora może nadto szybko na „polskiego Rimbauda", chociaż Czuchnowski jest mocno odmiennym typem duchowym. Wydane potem utwory, jak „Kobiety i konie" oraz „Reporter róż" dowodzą, że Czuchnowski wpadł już w manjerę. Manjera ta polega na pewnym daltonizmie myślowym: poeta widzi tylko porównania i obrazy, które, choć znakomite w sobie, nie łączą się zupełnie.

Tadeusz Peiper wydaje mi się poetą z przypadku. Umysł to typowo dyskursywny, świetny w artykule, teorji, polemice — kto wie czy nie w powieści? Wiersze Peipera są chłodne, zbyt wymyślne i matematyczne. Zato jego rozważania teoretyczne są zawsze bystre i ciekawe, nawet gdy są tak chwilami akademickie, jak w tomie „Tędy".

TYDZIEŃ ŚWIATA

Powikłania rumuńskie

(V.) Po tragicznej śmierci premjera rumuńskiego Jana Duca, ster rządów — według opinji powszechnej — mógł przypaść albo prof. Angelesco, ministrowi oświaty, cieszącemu się ogólnym szacunkiem, albo Konstantemu Bratiano, ministrowi oświaty i bratu dwóch głośnych wodzów liberałów, zmarłych przed kilkoma laty.

Tymczasem wybór króla padł na niespełna 40 lat liczącego p. Tataresco, będącego w rządzie Duca ministrem przemysłu i handlu, a uprzednio podsekretarzem stanu w ministerstwie spraw wewnętrznych.

Desygnacja młodego i mało znanego polityka na premjera wywołała konsternację w obozie liberałów i oburzenie u ich sędziwych wodzów. Pp. Angelesco i K. Bratiano odmówili dalszego pełnienia obowiązków w prowizorycznym rządzie i udziału w formowanym gabinecie Tataresco. Za ich przykładem poszedł p. Titulesco, minister spraw zagranicznych, cieszący się we Francji i Anglji nieograniczonem zaufaniem.

Wycofanie się tych trzech polityków podkopywało powagę nowego rządu wewnątrz kraju i nazewnątrz.

Po wielu pertraktacjach pp. Angelesco i Bratiano obiecali weszcie poparcie nowemu rządowi, ale p. Titulesco postawił dwa warunki:



Premjer rumuński Tataresco

kontynuowania linji politycznej zamordowanego premjera i reformy służby bezpieczeństwa.

To drugie żądanie wymierzone jest w naczelnego komendanta żandarmerji, gen. Dumitresco, którego syn jest osobistym sekretarzem króla. Samodzielne poczynania tego generała, nieliczącego się z polityką rządu, już raz były powodem zatargu i upadku gabinetu p. Maniu. Wtedy szef żandarmerji, dzięki bezpośrednim wpływom na dworze swego syna, odniósł zwycięstwo nad szefem rządu. Ciekawe, czy zdoła teraz pokonać p. Titulesco.

Przypomnienie

(V.) W jednym z ostatnich numerów „Le Temps", organ francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych, zamieszcza artykuł historyczny p. Abla Mansuy p. t. „Przymierze polsko - pruskie w przeddzień ostatniego rozbioru Polski". Autor opisuje okoliczności, w jakich ministrowi pruskiemu Herzbergowi udało się zbliżyć do Polski, doprowadzić do podpisania pozornie bezinteresownego traktatu sojuszniczego 29 marca 1790 r. i skierować patrjotów polskich przeciwko Rosji, aby w końcu wespół z nią doprowadzić do ostatecznego rozbioru Rzeczypospolitej. „Tak się zakończył aljans prusko - polski 1790 roku — kończy p. Mansuy, — aljans, mający jedynie na celu pozbawienie Polski możliwości zawarcia innego sojuszu".

Dlaczego i poco półurzędówka francuska zagłębia się w tym czasie w roztrząsanie skutków przyjaźni polsko-pruskiej z końca XVIII wieku?

Jak w bajce

(—) Zasypana śniegiem wioska. Mróz przeszło 20° stopniowy, tydzień przedświąteczny.

Do chaty jednego z gospodarzy wsi w podwarszawskiej gminie Wiązowna — zakołatał zdrożony żebrak.

Przyjęto go gościnnie. Nakarmiono, ogrzano, przenocowano.

„Podróżnego w dom przyjęto". Tymczasem podróżny zachorował.

Gospodarze chaty zaczęli go pielęgnować. Stan jednak się pogarszał. Pewnego dnia do urzędu gminy przybyła gościnna gospodyni, przynosząc książeczkę oszczędnościową P. K. O. — prosząc o ułatwienie formalności przy podjęciu



Ppułk. dypl. B. J. KWIECIŃSKI, sekretarz gen. Aeroklubu Rzeczypospolitej Polskiej, został na ostatnim zjeździe w Kairze obrany wiceprezesem Międzynarodowego Związku Lotniczego (F. A. I.)

przeszło 2.000 złotych, należących do chorego.

Urząd gminy w osobie swych władz z wójtem i sekretarzem na czele zainteresowali się tą sprawą. Udali się do chorego.

Okazało się, że ubogi żebrak, wędrujący o proszonym chlebie miał złożone w P. K. O. około 3.000 złotych, które, przeczuwając bliską śmierć, miał intencję dobroczynnie przekazać.

Po krótkiej rozmowie z przedstawicielami gminy, chory spisał testament, przekazując na potrzeby hygjeniczno-szkolne swój uciułany kapitalik.

W parę dni później chory zmarł.

Pogrzeb jego odbył się uroczyście — nie jak bezdomnego żebraka — lecz jak gospodarza, jak zasłużonego członka przybranej gminy.

Nabożeństwo żałobne, organy i śpiewy, własny grób, liczna rzesza modlących się, a przedewszystkiem wdzięczność „gminiaków", którzy dzięki temu bezdomnemu ciułaczowi zrealizują dawne pragnienie — sali gimnastycznej dla młodzieży szkolnej, — towarzyszyły jego trumnie. Dzieci z gminy W. mogą śmiało mówić, iż w tym roku na gwiazdkę miały własnego Św. Mikołaja.

A w sali, gdzie wzmagać się będzie fizyczna tężyzna „powszechniaków", pamięć o tym, co im tę salę włóczęgą o kiju i przezornością wykuśtykał, niewątpliwie długo będzie żywa i wdzięczna.

Literacka kawa

(S) Na fundamentach dawnej kawiarni, gdzie „kwiat" literatury przedwojennej spijał nektar czarny „pędzony z ziaren" brazylijskich zbiorów; gdzie ówcześni rewolucyjni „peleryniarze" z 1905-go śnili swój sen rycerski o szpadzie — wyrosła i osiadła krzepko na marmurowych kolumnach, wśród alabastrowych ścian — nowa, choć z dawnej energji wydawcy „Prawdy" poczęta, kawiarnia pod intymną nazwą „Caffé club'u". Warszawie przybył lokal o artystycznie skomponowanych wnętrzach przez artystów tak doświadczonych i utalentowanych, jak art.-malarz Norblin i arch. Siennicki. Potrafili oni dostosować się do najnowocześniejszych wymagań wygody — nie odstępując od linji artystycznych założeń. Ciepły, stonowany koloryt wnętrz oraz mebli łączy się doskonale z monumentalnością kolumn, schodów, tworząc całość jednolitą i artystyczną.

Nowa sala główna oraz mniejsze salki pozwalają na wystosowanie pod adresem ich twórców okrzyku: „brawo!"

Niedostępna kultura

(Old) W pierwszorzędnej naszej miejscowości kuracyjnej otwarto w tych dniach pierwszorzędny hotel-pensjonat. Monumentalne wejście, marmurowe schody, kryształowe szyby, stylowe meble: salon z orzecha kaukaskiego, jadalnia w cennej oliwce, mahoń i palisander po pokojach sypialnych; alabaster na ścianach, inkrustowana w deseń posadzka, rozproszone światło u sufitu; wszędzie lustra, dywany, kotary z weluru, gobeliny i rzeźby. Słowem, komfort, wygoda, estetyka. Nie zapomniano też o hygjenie: wanny, natryski, tusze. W każdym pokoju telefon, radjo, sygnalizacja świetlna. W ścianach korkowa izolacja. Drzwi z automatami elektrycznemi. Balkony i tarasy. Bar w podziemiach, kawiarnia na dachu. Szczyt techniki w połączeniu z moderne-gustem. A co najważniejsze — cały ten przepych i kulturę współczesną stworzył znakomity artysta polski, który zarobione zagranicą pieniądze nie przegrał w karty, nie przepuścił na hulankach, nawet nie ulokował w banku londyńskim, lecz użył na upiększenie i wzbogacenie uzdrowiska polskiego wspaniałym gmachem — modelem.

Ale jest i odwrotna strona medalu.

Jeszcze przed otwarciem nowego hotelu-pensjonatu napływały liczne zamówienia od gości. Jednym z pierwszych zgłosił się oficer z prowincjonalnego garnizonu, pragnący spędzić święta przyjemnie, w kulturalnych warunkach.

— Chciałbym jakiś skromny, niedrogi pokój — mówił do sędziwej kierowniczki wykwintnego pensjonatu.

— Mamy w różnych cenach — odparła. — Dla panów oficerów, artystów i literatów robimy specjalne ustępstwa — 30%.

— Ileżby kosztował pokój z utrzymaniem całodziennem?

— Dla pana kapitana obliczę po 25 złotych.

— Ależ to strasznie drogo!

— Proszę wziąć jednak pod uwagę niespotykane w Polsce komfort i wygody. Mój syn sam doglądał budowy; podczas podróży zagranicą studjował urządzenia hotelowe, badał najnowsze wynalazki i wszystko zastosował u siebie.

— Wierzę, szanowna pani, — odrzekł oficer, — ale nawet gdyby syn pani śpiewał podczas obiadu i kolacji, jeszcze nie mógłbym płacić takiej kwoty.

I kapitan zamieszkał w innym pensjonacie — za 6 zł. 50 gr. dziennie.

Z życia Kolonji Polskich



P. ALINA GLINCZYNA, małżonka attaché prasowego w Białogrodzie, w kiosku z polskiemi wyrobami przemysłu i zdobnictwa ludowego, urządzonym ze smakiem przez panie z Poselstwa Polskiego na dorocznym „bazarze słowiańskim", organizowanym przez „Koło Sióstr Serbskich" na cele filantropijne

Od dnia 1-go stycznia 1934 r. wszystkim prenumeratorom „Świata", wnoszącym z góry opłatę za cały kwartał I-szy, przysługuje 10% rabatu.

Prenumeratorom kwartalnym, którzy już dokonali wpłaty, ta dziesięcioprocentowa bonifikata zaliczona zostanie na poczet opłaty za kwartał II.

W ten sposób prenumerata kwartalna „Świata" wynosić będzie: w Warszawie — 13.50 zł., z odnoszeniem do domu 15.00 zł., na prowincji 16.50, zagranicą 21.60.

 Fot. J. Malarski



Przed portretem matki. — Jezierska i Ziembiński



Pełen dyskretnego umiaru Znicz koi ból Jezierskiej

Świat teatru

„Czwarty do brydża"

Adama Grzymały-Siedleckiego

„Czwarty do brydża" zajmuje najzupełniej odrębne stanowisko w twórczości komedjopisarskiej Adama Grzymały-Siedleckiego, która dotychczas rozwijała się od uśmiechu fredrowskiego — aż do lekkich krotochwil obyczajowych, ujawniających temperament satyryczny i świetny nerw komedjopisarski.

W „Czwartym do brydża" Siedleckiemu nie chodzi bynajmniej o malowidło obyczajowe, o satyryczne oświetlenie pewnego wycinka współczesnej rzeczywistości. Za temat wziął problem winy rodziców, która w pewnej chwili fatalistycznie zaciążyła na dorosłych dzieciach. Problem ten Siedlecki rozwija w ramach kompozycji wręcz klasycznej, jeżeli chodzi o jej prostotę i surową jasność. Zachowanie trzech jedności: miejsca, czasu i akcji, jest jakgdyby celowem igraniem z tego rodzaju trudnością formy.

Siedlecki igra zresztą z tematem w ciągu całej sztuki, stojącej na pograniczu między komedją a dramatem. Momenty dramatyczne mają w „Czwartym do brydża" zdecydowaną przewagę, a narastanie temperatury tragicznej, zgęszczanie atmosfery konfliktu i elektryzowanie słuchaczy przeprowadzone jest z wielką ekspresją. Nie ustrzegł się może Siedlecki w tym kierunku przed pewną monotonją, jednak wyczuwa się i tu świadomą celowość pisarską.

Skupiwszy chmury uzasadnionych skrupułów etycznych (niektórzy krytycy nazywają je anachronicznem „przeczuleniem"...) nad głowami bohaterów, Siedlecki rozwikłał problem komedjowo, bezboleśnie, pogodnie.

Reżyserja Karola Borowskiego z wielką troskliwością wypunktowała kameralność „Czwartego do brydża". Przełamano skutecznie lekką farsowość Różyckiego, który subtelnie i inteligentnie podkreślał egoizm, wygodnictwo i nieodpowiedzialność starzejącego się lowelasa. Postać to do grania trudna, wbudowana bowiem — jako typ komedjowy o zacięciu chwilami wręcz groteskowem — w środowisko figur o wybitnem piętnie dramatycznem i w atmosferę utworu chwilami wręcz tragiczną.

Prostotę i bezpośredniość uczucia w znacznym stopniu posiada p. Jezierska. Dyskretna powściągliwość Znicza wskazała mu właściwe miejsce dla pogodnie zrezygnowanej figury Cyprjana: finezja rysunku i subtelność tonu w niczem nie były naruszone. Pani Tarnowicz błysnęła dorodną sylwetą, a Ziembiński z wielkiem opanowaniem i skupieniem wyrazu inkarnował „Czwartego do brydża".

(Sz. Ski.).

„Cyganerja" łączy się z filmem

„Są gusty i guściki" — mówi stare polskie przysłowie i, kierując się sentencją tego powiedzenia, publiczność, łaknąca zabawy w teatrach, kinach i rewjach, wywiera ciągle wpływ na zmianę kierunku artystycznego i produkcyj w danych przedsiębiorstwach, żądając ciągle czegoś nowego.

Był czas, kiedyśmy mieli w Warszawie aż pięć teatrów rewjowych — liczba ta z czasem zmalała i została jedynie „Cyganerja" — awangarda wytrawnego humoru i dowcipu, składająca się z najlepszych sił „Qui Pro Quo", „Morskiego Oka" i „Bandy". — Doskonały ten zespół aktorów - cyganów, miłujących ponad wszystko sztukę i swój zawód, rozszerza obecnie swą działalność i na tradycyjnej scenie lekkiej piosenki i tańca, w dawnym „Wodewilu" — obecnie „Majesticu" — otwiera filję swą, gdzie wspólnie z obecnem kierownictwem kina tworzy choć nie nowy typ teatru, lecz taki, jakiego Warszawa nie posiada, a którego pragnie i oczekuje...

Już w pierwszym programie, nad ułożeniem którego pracuje starszy „Cygan" Fryderyk Jarossy — i wytrawny dyrektor kina „Majestic" — zobaczymy film francuskiej produkcji 1934 r., pełen finezji i wykwintnego paryskiego humoru z przemiłym Henri Garat'em i pikantną chłopczycą Lisettą Lanvin — a później uroczy zespół „Cyganiątek" i „Cyganów" z ulicy Jasnej, który w inauguracyjnej rewji na deskach sceny „Majesticu" stworzy nową erę w dziedzinie mieszanych widowisk.

HUMOR TEATRALNY

„POTĘŻNY" DYREKTOR

Hubert Mariszka, dyrektor wiedeńskiego teatru „An der Wien", znany jest ze swojej energji. Żadne przeszkody dla niego nie istnieją.

Ostatnio nie wiodło mu się w teatrze. Zawiesił więc przedstawienia na cały okres przedświąteczny, próbował rano, popołudniu, wieczorem i postanowił, że w pierwszy dzień świąt da nową operetkę.

— A co będzie, jeżeli nie zdążysz? — zapytuje przyjaciel.

— Odłożę święta! — stanowczym głosem odpowiada dyrektor Mariszka.

„TOWARISZCZ" W TEATRZE LETNIM



Kuzynce carów, p. Ćwiklińskiej, biją pokłony „po pas"

Jak można, a jak nie należy

Mówi się o Warszawie: „Paryż północy", a o warszawiankach, że mają szyk paryżanek. Nie trzeba jednak w prostocie ducha brać tego zbyt dosłownie.

Paryżanka zastanawia się przedewszystkiem: „Czy mi w tem do twarzy?

Warszawianka: „Czy to aby modne?"

Rezultat: paryżanka jest ubrana estetycznie, warszawianka nieraz tylko cudacznie.

Paryżanka szuka zawsze efektu dyskretnego. Gdy ją na to stać, kupuje karakuły czarne, albo takież brajtszwance — daje zawsze pierwszeństwo kolorowi czarnemu. Jeśli nie ma na futro, sprawia płaszcz podszyty futrem... a często tylko wiatrem. (Klimat względnie na to pozwala). Ale zawsze czarny, o ile płaszcz ten przeznacza na ulicę, a nie do podróży lub sportu.

Fasonem modnym nie gardzi, rzecz jasna. Ale ma nieomylne wyczucie tego, co jest efemerydą, co dziś urodziło się z kaprysu wielkiego lub mniejszego mistrza krawieckiego, — a za miesiąc będzie komiczną reminiscencją, kładącą stempel i datę na prawie nowem ubraniu.



Warszawianka lubi kraty!

„To dobre dla Argentynek albo Chilijek" — mówiła do mnie znajoma paryżanka, wskazując kilka szczegółów zbyt ekscentrycznych w doskonałej skądinąd kolekcji znanego kuśnierza. I wybrała płaszcz brajtszwancowy bardzo prostego kroju, mało wcięty, raczej luźny, krótki do kolan, o rękawach gładkich, równych, dość szerokich, i kołnierzu niewielkim, drapowanym, który „robi młodo". (Że „robi" także zimno, na to paryżanka



...albo czarny płaszcz z karakułami

zwraca bardzo małą uwagę. My w Warszawie musimy i z tem się liczyć, niestety).

Przyjaciółka jej zrezygnowała zgóry z płaszcza futrzanego — skromne finanse zmuszają czasem kobietę do wyrzeczeń. Ale czarny długi płaszcz z miękkiej wełny, lekko wcięty i lekko skloszowany w dole, przybrany karakułami, zapięty na trzy płaskie guzy, podkreślał doskonale jej giętką sylwetkę.

Warszawianka załatwia taki sprawunek zupełnie inaczej.



Paryżanka wybrała brajtszwance...

Przedewszystkiem rozpoczyna heroiczne peregrynacje po wszystkich składach kuśnierskich, jakie zna i o jakich jej jeszcze wspomniano. Wkońcu wraca do pierwszego magazynu, w którym była, — i wybiera napewnc właśnie to futro inkrustowane w kratę, bo jej wmówiono, że to jest najmodniejsze. Efekt wydaje się jej nadzwyczajny. A że bronzowy włos futra niedość w jej mniemaniu odcina się od piaskowego włosa kraty, więc postanawia natychmiast „ożywić" martwą całość przez kupienie do niej czerwonego kapelusika.

(„To takie teraz modne"... myśli).

Że ma torebkę z popielatego krokodyla, a trzewiki z czarnego zamszu, tem się tak bardzo nie peszy. Każdy z tych detali jej toalety jest ściśle według ostatniej mody — tylko niestety, każdy „z innego podwórka".

Tem się przeważnie warszawianka różni od swego paryskiego prototypu.

Lustucru.

Zmierzch bogów brydża

Tytuł tego feljetonu nie jest plagjatem, a został zapożyczony częściowo od Wagnera, ze względu na pewną analogję: opery Wagnera byłyby bardzo przyjemne, gdyby nie robiły tyle hałasu; brydż również. O ile jednak upadek bogów nie wymaga żadnych komentarzy, na temat upadku brydża da się powiedzieć bardzo wiele.

Przedewszystkiem, należy uspokoić ludność, która mogłaby się zdenerwować tem proroctwem. Wiele jeszcze klubów bratnio brydżowych powstanie, wielu jeszcze matołków wykieruje się na szampionów brydża, wiele separacji od zielonego stolika nastąpi w usankcjonowanych stadłach, wiele arcydowcipnych fars pod tytułem: „Nie wychodź pani z pod króla!" zrobi kasę, zanim nastąpi przewrót. Wszystkie wielkie rewolucje — jak wiadomo z podręczników — szły zgóry; myśli zrodzone w twórczych umysłach przenikały dopiero po latach do mas. Zupełnie, jak z żyrafą i katarem. Niech więc na razie nikt nie załamuje rąk i marzy swobodnie o wielkim szlemie; jeszcze czas.

Niemniej, oficjalny zmierzch brydża nastąpił. W miarodajnym klubie brydż przestał być reprezentacyjną grą. A w jakim klubie, tego niestety powiedzieć nie mogę. Nie jestem wprawdzie związana zawodową tajemnicą, ale boję się nagany redaktora i uznania opozycji.

Jestem namiętną brydżystką („Kto z nią gra w brydża, niech we mnie nie rzuca kamieniem" mawia mój mąż, od którego nie nauczyłam się żadnych impasów, a tylko wadliwej licytacji), przeto głucha wieść o zmierzchu brydża zaniepokoiła mnie. Jak wyglądać będą w przyszłości ciepłe rodzinne zebrania, rauty dobroczynne, miłe wieczory dyskusyjne w instytucie propagandy sztuki i innych propagandach bez brydża? Te względy, a także ciekawość, chwalebna wada dziennikarki, skłoniły mnie do uzyskania wywiadu. Wywiady z osobistościami nie są rzeczą łatwą do zdobycia u nas. Miarodajne czynniki nie lubią reklamy. Moja rozmowa z członkiem wyżej wspomnianego klubu miała charakter nieoficjalny i raczej towarzyski:

— Więc finis bridgae? — rzekłam czystą łaciną.

— My już w brydża nie gramy.

— A co jest grą reprezentacyjną?

— Belotka.

— W to się już grało...

— Ale przez małe be, a teraz przez duże Be. Pani rozumie?

— Brydż również pisze się przez duże Be.

— Zmieniono pisownię. Brydż nie jest na czasie.

— Jakto, w całej Europie panuje brydż!

— Właśnie, był zanadto paneuropejską grą dla nas. My wolimy grę na własny rachunek.

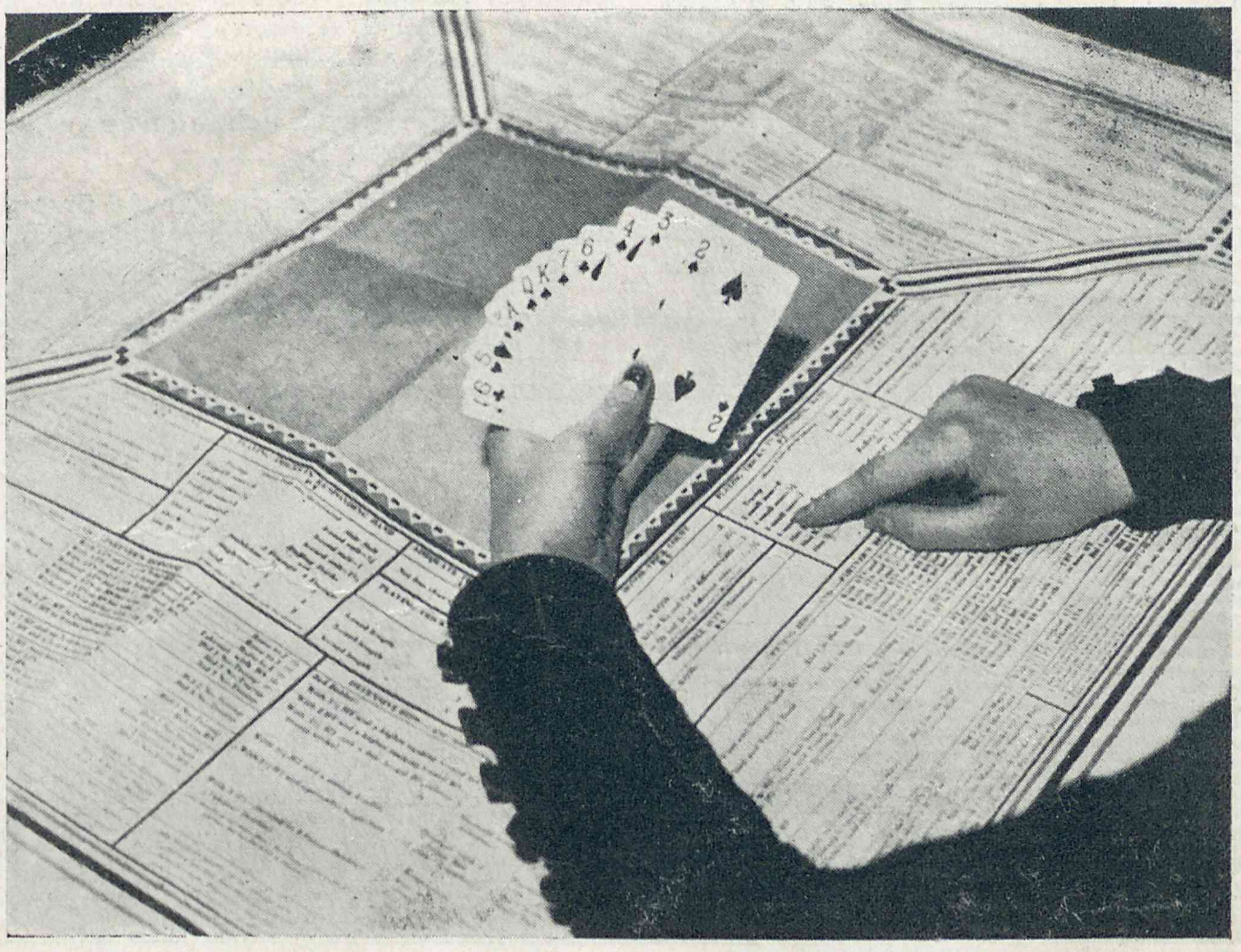
Idealizm kobiecy sprzeciwia się rachunkom.

— Więc wolicie belotkę, bo każdy gra na własny rachunek?

— Nietylko, ale nikt też nie musi brać na swoją odpowiedzialność błędów partnera. Oto przewaga belotki i jej awangardowe znaczenie w dobie czwartej, piątej i szóstej raty pożyczki narodowej. Brydż był grą selekcyjną, grało się w zgranych zespołach (— jak trudno było o odpowiednią partję —), albo się wpadało. Czterech się kłóciło i nikt nie korzystał. A belotka? Otwiera wszelkie możliwości. Możesz wygrać sam dla siebie. Wolno kombinować i do nikogo nie można mieć pretensji, gdy kombinacja się nie udała: ty do nikogo i nikt do ciebie. Nikogo nie wciągam i nikt mnie nie wciąga. Przegrywam, to płacę, ale nie „leżę" w towarzystwie. Dostaję dżokera, sprzyja mi szczęście, wtedy zazdroszczą mi, lecz nikt nie może mi powiedzieć, że mnie wyciągnął partner, że jego umiejętnościom zawdzięczam mój sukces. Pozatem belotka jest grą demokratyczną, mogę grać w każdem towarzystwie, bo nikt nie kontroluje moich błędów. Nikt się ze mną nie przelicytowuje i nie mam kibica.

Zmierzch brydża, po takim wywiadzie, staje się zupełnie zrozumiałym, chociaż — nie było mowy o upaństwowieniu belotki.

H. Jel.



Bal
Młodej Architektury

1 LUTY — 1934 R.

Na posiedzeniu Sądu Konkursowego konkursu na plakat *Balu Młodej Architektury 1934 r.* jury w składzie: Tadeusz Gronowski, Zygmunt Kamiński, dr. Lech Niemojewski, inż.-arch. Rudolf Świerczyński przyznało I. nagrodę pracy oznaczonej godłem „A", II. nagrodę przyznano pracy oznaczonej godłem „Kwiatuszek".

Po otwarciu kopert okazało się, że autorami I-szej nagrody są Stanisława Sandecka i Maciej Nowicki, autorami II-giej nagrody są Jan Poliński i Jan Słomczyński.

Subwencjonowanie teatrów paryskich

W paryskiej radzie miejskiej odbyła się ostatnio ciekawa dyskusja nad subwencjonowaniem teatrów.

Sprawozdawca, radny d'Andigné, oświadczył, że wobec niedotrzymania przez skarb państwa obietnicy uwolnienia od podatków teatrów miejskich, proponuje zmniejszenie do połowy subwencji, corocznie przyznawanych teatrom państwowym.

Prefekt departamentu Sekwany Renard uprzedził, że jeśli teatry paryskie w dalszym ciągu grywać będą sztuki autorów obcych i zatrudniać artystów cudzoziemskich, on stanowczo przeciwstawi się na przyszłość wszelkim subsydjom.

Deklaracja ta spotkała się z ogólnym aplauzem. Radny Ferrandi dorzucił, że gdy w Paryżu wciąż na afiszach nazwiska autorów niemieckich, w Niemczech od lat nie grano ani jednej sztuki francuskiej.

W końcu uchwalono na rok 1934 następujące subwencje: dla teatrów państwowych: Opera — 300.000 fr., Opera-Comique — 200.000, Komedja Franc. — 150.000, Odeon — 100.000 fr.; dla teatrów miejskich: Châtelet — 150.000 fr. i Sarah Bernhardt 100.000; dla teatrów społecznych: Trocadéro (popularny) — 100.000, Trianon - Lirique — 50.000, Trente ans de théâtre — 30.000, Atelier — 25.000, Théâtre des Arts — 10.000, La Maison de l'Oeuvre — 5.000. Nadto dla 6 przedsiębiorstw koncertowych uchwalono po 25.000 i dla 3 po 10.000 fr.

Ogółem budżet miejski Paryża przewiduje 1.400.000 fr. na subwencjonowanie teatrów i muzyki klasycznej.

PORADY KOSMETYCZNE

Odpowiedzi od redakcji

Rozpoczynamy w niniejszym numerze „Świata" drukowanie odpowiedzi na zapytania w sprawach kosmetyki.

P. Zofja K-wicz, Kielce, zapytuje czy możliwem jest pozbycie się zmarszczek na szyi i karku, oraz gęsiej skórki na plecach, widocznej przy dekoltowanej sukni balowej. Powodem tych niemiłych defektów urody jest wadliwe działanie hormonów skóry. Niedawno wynaleziony krem hormonalny „Acticrème" marki „Antiba" potęguje, względnie zastępuje czynności hormonów. Acticrème, wnikając w głębsze pokłady tkanek, usuwa wiotkość i zmarszczki. Systematyczne użycie Acticrému odmłodzi i ożywi skórę twarzy i ramion. Zwracamy uwagę na ścisłe stosowanie się do przepisu użycia, gdyż zbyt długie pozostawienie kremu na skórze wywołać może nieporządane skutki.

P. Z. Słabik, Grudziądz, zapytuje czy mężczyźnie wypada się perfumować. Bezwzględnie nie jest to w dobrym tonie. Panowie używają do skropienia twarzy i chusteczki jedynie wody kolońskie o słabych zapachach, najodpowiedniejszą będzie czysta, 90%-owa woda kolońska.

Irce, Zakopane, radzimy przed każdą wycieczką w góry, lub wyjazdem na nartach oraz po powrocie posmarować nieco ręce „Glicerijell'em" „Antiba", a uchroni się pani całkowicie od zaczerwienienia i szorstkości rąk.

Dalsze odpowiedzi w następnym numerze.



Tryptyk Henryka Szczyglińskiego p. t. „Krasa Narwi", odznaczony na tegorocznym „Salonie" Zachęty I-szą nagrodą m. st. Warszawy

Racjonalny katalog

Podstawę do zwiedzania każdego muzeum stanowi katalog. Większość niestety, katalogów jest sporządzana według stereotypowego szablonu: numer, imię i nazwisko autora, nazwa eksponatu, częstokroć nic niemówiąca szerokim masom zwiedzających.

To też z uznaniem podkreślić należy formę, w jakiej opracowany został katalog niedawno otwartego „Muzeum Przemysłu i Techniki". Jest to właściwie popularnie i ciekawie napisana broszura, omawiająca wszystkie działy i zawierająca świetny materjał informacyjny.

Zwiedzanie Muzeum z tym katalogiem w ręku spełnia podwójną rolę: pozwala doskonale orjentować się wśród eksponatów i kształci zarazem, dając podstawowe wiadomości z tak mało znanej u nas dziedziny przemysłu i techniki.

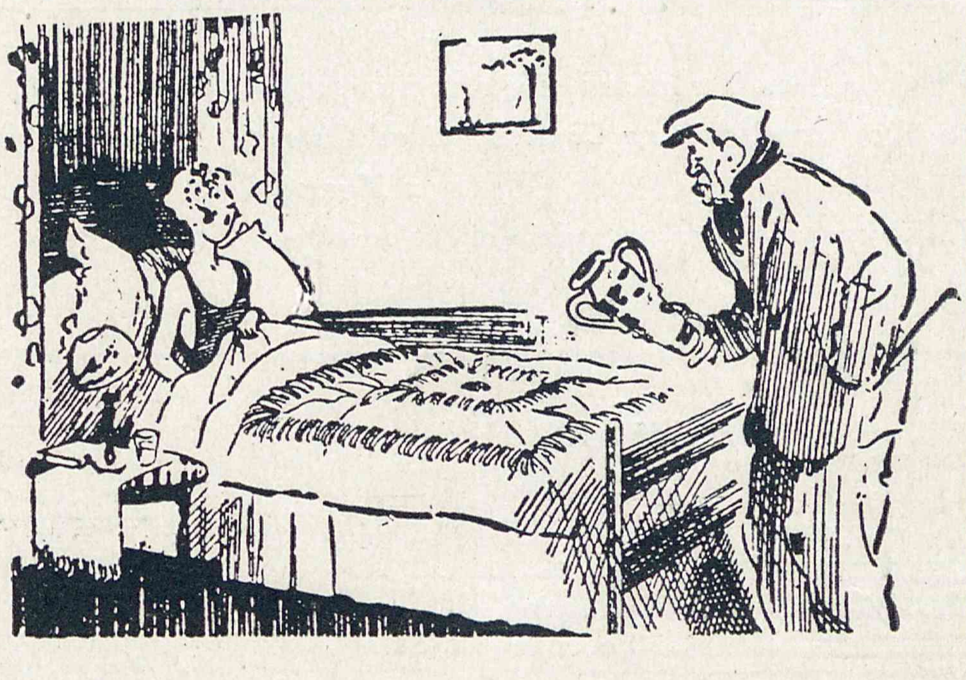
Katalog, obficie ilustrowany i doskonale ułożony, co jest zasługą komitetu redakcyjnego z dyrektorem inż. Kazimierzem Jackowskim na czele, winien stać się wzorem dla wszystkich katalogów muzealnych, jako typ podręcznika, bez którego zwiedzanie staje się bezcelową stratą czasu.

PUNKT WIDZENIA



— Kryzys?... Gdzie oni widzą kryzys?

GRYMAŚNY ZŁODZIEJ

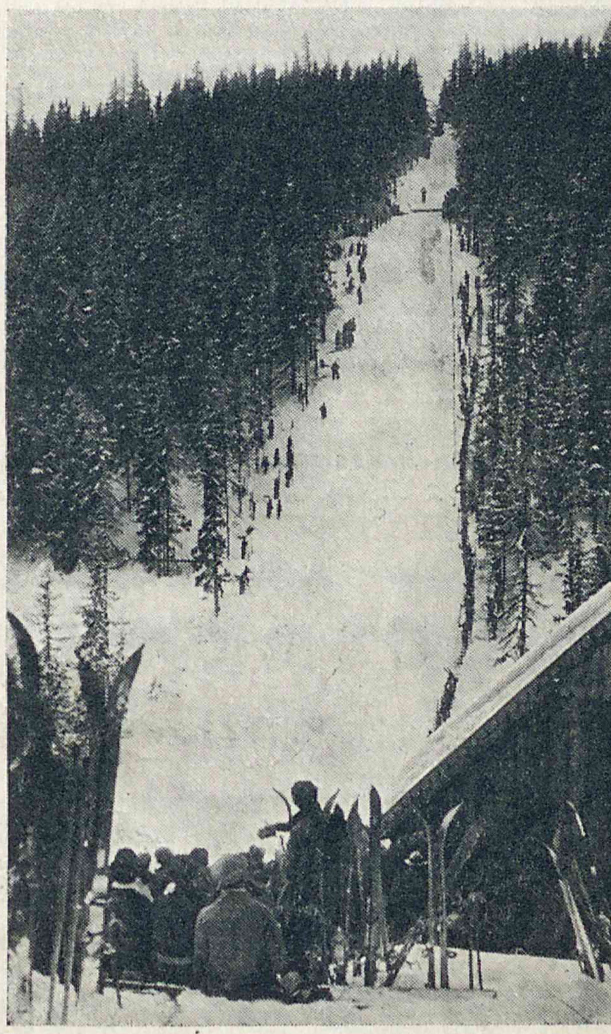


— Proszę pani, mojej żonie nie podobał się ten wazon Więc zwracam, żeby mi go pani zamieniła na inny.

SANATORJUM D-ra GUHRA w Tatrzańskiej Poliance (Czechosłowacja) położone na wysokości 1010 metr. w Tatrach. Fenomenalne wyniki w leczeniu chorób przemiany materji w szczególności choroba Basedowa.



Gmach Sanatorjum w Tatrzańskiej Poliance



Tor narciarski

Minister angielski na Capri



Sir John Simon, minister spraw zagranicznych Anglji, spędził wraz z żoną święta Bożego Narodzenia na Capri, skąd udał się do Rzymu dla odbycia ważnych narad z Mussolinim

J. Simon z żoną w zagrodzie wieśniaczej na Capri zapomina o kłopotach ministra

Radjo przeciwko lotnictwu



Miejsce strasznej katastrofy lotniczej, gdzie wielki aeroplan pasażerski linji Bruksella — Londyn zawadził o wieżę stacji radjowej, grzebiąc pod swemi szczątkami 9 ofiar ludzkich, wśród których znajdował się dyrektor P. P. G. z Grudziądza, p. Heilperin

HUMOR



— Gdzie byłaś?
— W parku.
— Z kim?
— Sama.
— Sama? No to wytłomacz mi, dlaczego wracasz z laską, kiedyś wyszła z parasolką?

SZYBKI RZEMIEŚLNIK



— Czy to pani wzywała blacharza do zalutowania rądla?
— Tak, ale przecież pisałam do was w maju!
— A, to się omyliłem w adresie. Szukam tej pani, która do mnie pisała w marcu!

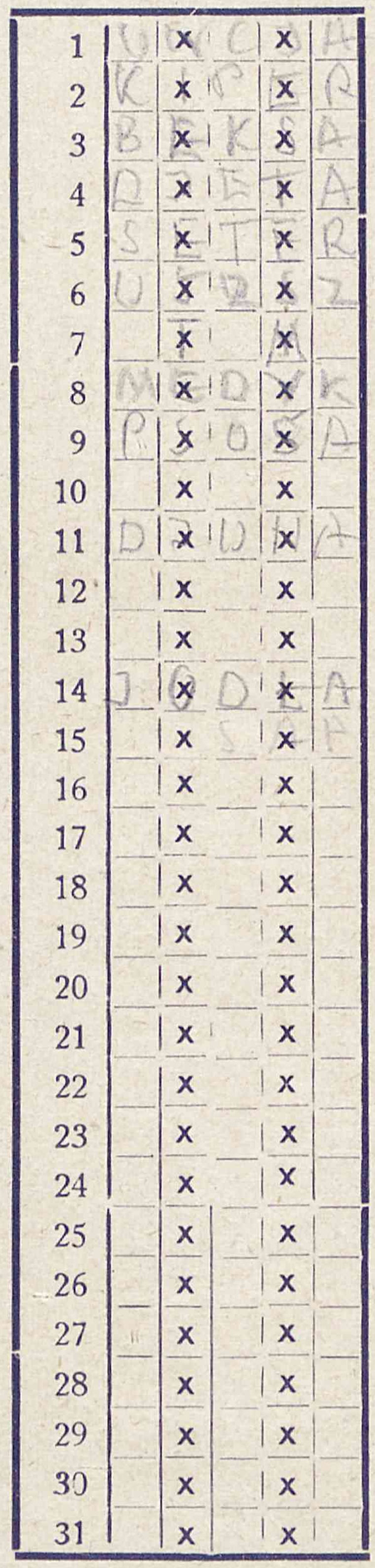
„Zorganizowanym i przygotowanym do obrony przeciwlotniczo-gazowej nic grozić nie będzie" – Zapisujcie się na członków L.O.P.P.!

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 3 (293) Zadanie kolumnowe

Ułożyła Izyda Aspis

(Za rozwiązanie 5 punktów)

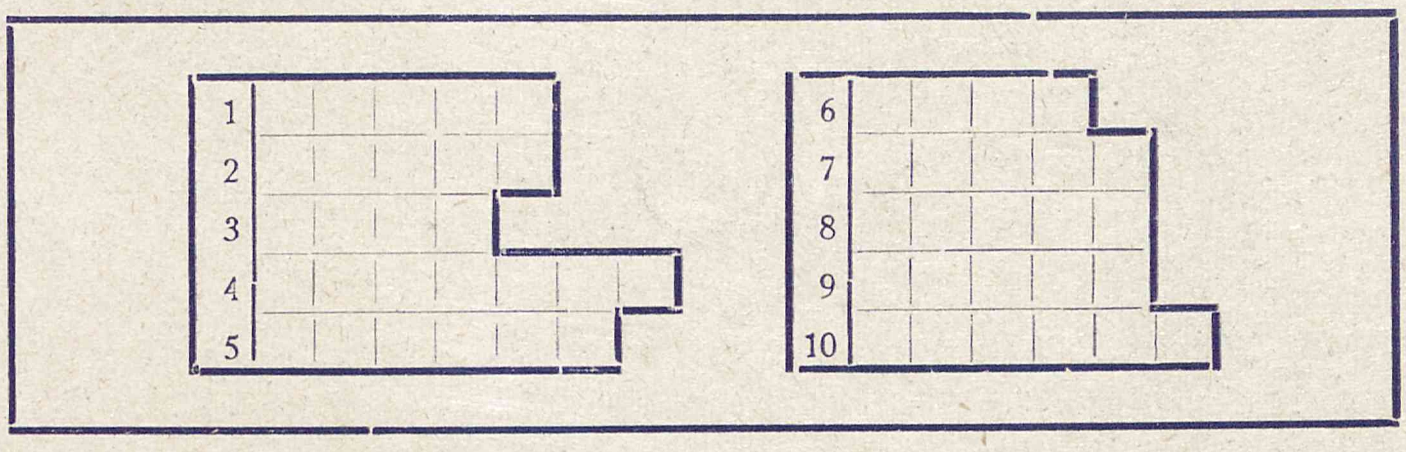


W daną figurę należy wpisać 31 pięcioliterowych wyrazów poziomych o podanem znaczeniu. Kolumny pionowe: druga i czwarta — dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Waga aptekarska. 2. Znawca wina. 3. Płaksa, mazgaj. 4. Płaca dzienna. 5. Gatunek wyżła o długim włosie 6. Uczyń suchem (4 = ś). 7. Usta. 8. Lekarz. 9. Figiel psikus (2 = ś). 10. Przedmiot bezwartościowy. 11. Piasek ruchomy. 12, Zdrobniałe imię męskie. 13. Miasto gubernjalne w Rosji. 14. Świerk. 15. Rzemień, pas u strzelby (wspak). 16. Futro. 17. Drogi kamień. 18. Wielki budynek (4 = ć). 19. Amerykański ptak błotny, z rzędu kaczkowatych (l. mn.). 20. Sztyft łupkowy do pisania na tablicy szyfrowej. 21. Rynsztok, zlew (2 = ć). 22. Miasto na Śląsku nad rzeką Opą (wspak). 23. Ulica w Warszawie. 24. Czas żęcia zboża. 25. Miasto w Polsce (wspak). 26. Posag. 27. Drzewo z rodziny wierzbowatych (2 = ś). 28. Poczucie godności własnej. 29. Wydobyć się, wydostać się. 30. Troszczymy się o kogoś. 31. Dzielnica Polski.

№ 4 (294) Eliminatka-oksymoron

Ułożyła * * * *(Za rozwiązanie 5 punktów)*



Wpisać w daną figurę 10 wyrazów poziomych o podanem znaczeniu, poczem skreślić w nich te litery, które wchodzą w skład wyrazu (klucza do eliminatki), będącego nazwą człowieka niemrawego, którego trzeba popędzać. Pozostałe litery, czytane poziomo, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Wór długi, mający otwór w środku, do przewieszania przez ramię. 2. Uczta pogrzebowa. 3. Ubytek, uszczerbek. 4. Postać, wygląd zewnętrzny. 5. Sofa z plecami i poręczami. 6. Imię męskie. 7. Arlekin. 8. Szubrawiec, nikczemnik. 9. Czupryna, peruczka, pokrywająca część głowy. 10. Ubrania kobiece.

Rozwiązanie zadań

№ 174 (276) ŁAMIGŁÓWKA.

1. Skaga. 2. Sakra. 3. Komża (wspak). 4. Zdobi. 5. Hebel. 6. Żmuda (wspak). 7. Rzędy. 8. Pikle. 9. Ostap. 10. Litwa. 11. Malcy. 12. Szuja (wspak). 13. Zofja (wspak). 14. Zebra. 15. Oskar. 16. Staje. — „Każde „dzisiaj" jest grobem dla „wczoraj".

№ 175 (277) WIRÓWKA.

1. Kwarta. 2. Sawata. 3. Kareta. 4. Karter. 5. Arkana. 6. Kajasa. 7. Tenuta. 8. Etylen. 9. Narwal. 10. Jaskra. 11. Kajuta. 12. Szleja. 13. Kasawa. 14. Szubak. 15. Puszka. 16. Sapory. 17. Astara. 18. Bukiet. 19. Uskoki. 20. Orsini. 21. Rzażka. 22. Kurpie. 23. Kopuła. 24. Iganie. 25. Żakiet. 26. Turkot. 27. Żakula. 28. Migacz. — „WALKA Z KRYZYSEM".

Trafne rozwiązania nadesłali:

№ 174 (276) (Za rozwiązanie 5 punktów). Fr. Wiśniewski. Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). Romuald Żak. L. Glaszmidt. Zenon Brenek. Dorota Herbstmanówna. Jawna Kowalska. Łucja Przechadzka (Piotrków). Z. Tietz. Marja Strubel. Kaz. Lilpop. Fr. Łukaszewicz (Wilno). N. K. Kozłowski. Jan Popławski. Zofja Suchecka (Radom). Wład. Stock (Pińsk). Józef Małecki. Baśka Żulińska (Częstochowa). Jan Rudziński (Kalisz). Henryk Walewski (Lwów). Ola Borman. Janina Rowińska. Karol Waldenberg (Łódź). Stanisław Tański. Cecylja Lewandowska. Tadeusz Noskowski. Wiktor Sawicki. Jerzy Halski. Bolesław Nowak. Zofja Górska. Tadeusz Ritter. Henryk Ostrowski. Jan Kowalski. Gertruda Wolska. Feliks Siedlecki (Poznań). Tadeusz Pomianowski. Wiktor Rawicz. Antonina Solecka. Józef Zbyszewski (Kraków). Ksawery Faliński. Helena Millerowa (Kraków).

№ 175 (277) (Za trafne rozwiązanie 10 punktów). N. K. Kozłowski. Fr. Łukaszewicz (Wilno). Kaz. Lilpop. Marja Strubel. Z. Tietz. Łucja Przechadzka (Piotrków). Jawna Kowalska. Dorota Herbstmanówna. Zenon Brenek. L. Glaszmidt. Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). Fr. Wiśniewski. Henryk Walewski (Lwów) Ola Borman. Janina Rowińska. Karol Waldenberg (Łódź). Stanisław Tański. Cecylja Lewandowska. Tadeusz Noskowski. Wiktor Sawicki. Jerzy Halski. Bolesław Nowak. Zofja Górska, Tadeusz Ritter, Henryk Ostrowski. Jan Kowalski. Gertruda Wolska. Feliks Siedlecki (Poznań). Tadeusz Pomianowski. Wiktor Rawicz. Antonina Solecka. Józef Zbyszewski (Kraków). Ksawery Faliński. Helena Millerowa (Kraków). Jan Rudziński (Kalisz). Baśka Żulińska (Częstochowa), Józef Małecki, Władyskaw Stock (Pińsk). Zofja Suchecka (Radom). Jan Popławski.

NAGRODY OTRZYMALI:

Łucja Przechadzka (Piotrków) — książkę.
Bolesław Nowak (Warszawa) — książkę.

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa

P